DZIS
i
JUTRO

U progu dziesiątego roku

W rozgwarze kampanii wyborczej niepostrzeżenie minęło dziesięć lat od chwili ukazania się pierwszego numeru „Dziś i Jutro”. Fakt to znamieny, można powiedzieć symboliczny, że żywy udział w aktualnych, ogólnonarodowych zadaniach nie zostawia nam wiele czasu na historyczne analizy.

Dziesięć lat to niewiele w skali realizowanego przez naród polski zadania budowy nowej, opartej na sprawiedliwości cywilizacji. Historycy mają więc czas na dokonanie podsumowania tego okresu. Ale dziesięć lat to bardzo dużo jeśli idzie o dokonanie przelomu, o budowanie fundamentów, o dojrzenie ludzi-twórców i użytkowników wspólnego dobru — bardzo dużo jeśli idzie o osiągnięcia myśli ludzkiej pozwalające coraz pewniej i skuteczniej zmierzać do celu.

W ciągu tych lat zawiązała się i określała nasza solidarność z klasą robotniczą, która przewodzi wielkiemu dziełu budowy socjalizmu. Ale decyzja przyłączenia się do tego dzieła nie jest z rzędu tych, które wystarczy jednorazowo podjąć, aby raz na zawsze stanąć po stronie mas pracujących. Trzeba z nimi razem kroczyć naprzód do ciągłych nowych zadań i nowych sukcesów. O wartości naszej decyzji stanowi fakt, że nie jest ona jedynie polityczna, ale, że wypływa z najgłębszych przeżyć ideologicznych — jest wynikiem przekonania, że przykazanie miłości bliźniego przetłumaczone na właściwy nasz język praktycznych, społecznych zadań wymaga realizowania tego braterstwa i sprawiedliwości, o którą walczą upośledzeni i wyzyskiwani na całym świecie. Gwarantując dalszej, coraz skuteczniejszej walki o te ogólnoludzkie ideały jest niestannie pogłębianie i rozwijanie motywacji naszego zaangażowania się.

U progu dziesiątego roku pracy, zamiast spojrzania wstecz, dajemy czytelnikom rozważania na temat sił, które każą nam patrzeć i podążać naprzód — na temat źródeł inspirujących naszą walkę i naszą pracę.

REDAKCJA

ANDRZEJ KRASIŃSKI

Przeciwko wojnie

W szczególnym, można powiedzieć: dramatycznym momencie dziejowym toczyły się ostatnie obrady Rady Polityki w Sztokholmie. Owo piękne miasto, z którego przed paru laty wyszedł w świat słynny apel zapoczątkowujący całą serię wielkich sukcesów polityki pokojowej i negocjacji międzynarodowej, owo miasto od paru niemal wieków nie znało wojny — było dziś niemyim świadkiem pełnych napięcia obrad, w których reprezentanci i najpełniejsi synowie wszystkich narodów świata rozważali środki udaremnienia nowej groźby dla pokoju i dobrobytu świata.

W momencie bowiem, gdy już dały się odczuwać narodom bogostawione skutki odprężenia międzynarodowego, kierownicy polityki USA (po dotkliwych porażkach doznanych w ostatnich latach) czują zdołaną energią poczęli snuć plany nowego zaostrożenia i nowych zbrojeń, i w rezultacie znowu zbliżać widmo kataklizmu wojennego. Zapisała nad światem groźba układów londyńskich i paryskich, których ratyfikacja może stworzyć nową sytuację nie tylko w Europie, ale i całym świecie. Nie myślę więc si tu w prorocтва, czy zawsze zawodne przewidywania. W każdym razie — niezależnie od tego, czy przyniesie nam najbliższa przyszłość — wchodzimy w okres, w którym ruch pokoju umacnia swoją aktywność. Musimy jeszcze bardziej rozszerzyć swe szeregi wciągając ludzi, którzy dotychczas zajmowali pozycję odległą od postępowych w sensie społecznym. Cyniczne posunięcia polityków „atlantycznych” są szlachetnie tak biatymi niemi, że nawet ludzkom zagubionym i zbłądanym otwierają się oczy.

Gdy dochodzi do tego, że dante broni do ręki hitlerowskim żołdakom przedstawia się jako posunięcie pokojowe — a tak właśnie przekonuje Mendès-France swych rodaków o potrzebie ratyfikacji — słowa tracą jakakolwiek wartość. Trudno sądzić, by ktokolwiek (przynajmniej w Europie) wziął na serio takie oświadczenie. Mimo to jednak — groźba ratyfikacji jest bardzo poważna. Zapyta ktoś — jak się to dzieje? Przecież, gdyby np. doszło we Francji do referendum, na pewno zwolennicy ratyfikacji ponieśliby słomną porażkę.

Groźba zatem istnieje wyłącznie na skutek całkowitego rozkładu starych instytucji parlamentarnych. Izba deputowanych i Rada Republiki nie wyrażają w najmniejszej mierze opinii narodu. Ordynacja wyborcza, mechanizm partyjnych machinacji, przemożne wpływy finansjery — nie mówiąc już nawet o jawnej korupcji — wszystko to sprawia, że parlament traci związek z prawdziwą opinią publiczną, a raczej nie tyle traci związek, ile działa przeciwko tej opinii mas, kierując się faktycznie dyrektywami interesów wielkiego kapitału. Oczywiście, ten prosty mechanizm komplikuje się niejednokrotnie wówczas, gdy powstaje sprzeczność pomiędzy interesami pewnych gałęzi przemysłu narodowego w poszczególnych krajach a wielkim kapitałem międzynarodowym mającym główne lokaty w ciężkim przemyśle i dlatego szczególnie zainteresowanym w wyścigu zbrojeń.

Ostra sprzeczność wewnątrz burżuazyjnej opinii powstała na przykład w sprawie Wietnamu i Mendès-France, którego związku z bankiem Indochińskim są znane, działał jako przedstawiciel tego odłamu finansjery francuskiej, która była zainteresowana w zaprzestaniu ognia na tym obszarze.

Ale nie są to jedyną sprzeczności rozdzierające społeczeństwa mieszczańskie. Poza całkowicie wyzbytymi sumieniami bankierami, gotowymi handlować krwią własnego narodu i jego niepodległością, są przecież i wśród klas posiadających ludzie usposobieni patriotycznie albo przynajmniej ludzie, którzy zachowali instynkt samozachowawczy. Patrzą oni w przyszłość i widzą, że neohitlerowska armia w Niemczech zachodnich to puścić w ruch mechanizm wojennego, którego nikt nie będzie w stanie skontrolować i który w niedalekiej przyszłości zagrozić musi całej Europie łącznie z dzisiejszymi sojusznikami bońskiej republiki.

Walka toczona dziś we Francji, a także w innych krajach Europy przeciwko ratyfikacji układów londyńskich i paryskich jest więc walką opinii publicznej szerokiej masy z reżimem opinii tworzoną przez grupki polityków korzystających z

(Dokończenie na str. 2).

WOJCIECH WIECZOREK

WOKÓŁ ZAGADNIENIA
INSPIRACJI ŚWIATOPOGŁADOWEJ

ARTYKULEM „O pojęciu inspiracji światopoglądowej opublikowanym w 43 (465) numerze „Dziś i Jutro” Władysław Seńko zwrócił uwagę na jeden z kluczowych problemów ideologicznych nurtujących w ruchu społecznie postępowym katolików polskich. Autor słusznie stwierdził na wstępie, że termin „inspiracja światopoglądowa” jest często używany, słowem — szczególnie „modny”. Niemniej jednak stwierdzić trzeba, że mimo coraz szerszego upowszechniania się tego terminu zrobiono niewiele, co można by było uznać za wyraz „frontalnego” zaatakowania wiążącej się z nim bogatej problematyki ideologicznej. Wspomniany artykuł jest, jak dotąd, rzadkim wyjątkiem. Sądzę, że należałoby go potraktować jako zaproszenie do dyskusji, której nieodwołalność jest chyba oczywista. Rację ma bowiem Seńko, kiedy pisze: „Podobnie jak wiele innych terminów, które zjawiają się w aktywnych ośrodkach intelektualnych trudzących się przekładaniem treści swojej ideologii na język epoki współczesnej, inspiracja światopoglądowa ukazuje na zewnątrz pozorowe ubóstwo treści nie ujawniając od razu w sposób oczywisty tego znaczenia, które w określonym środowisku stało się już powszechnie zrozumiałe i przyjęte.” Jednym z aktualnych zadań publicystyki ruchu społecznie postępowego powinno więc być wszechstronne naświetlenie tego zagadnienia oraz przedstawienie ogółowi katolików w Polsce jego znaczenia teoretycznego, jak również praktycznych konsekwencji ideowo-politycznych.

Aktualność problematyki inspiracji światopoglądowej, postawienie jej „na porządku dziennym” dyskusji toczących się w postępowych środowiskach katolickich, nie jest rzeczą przypadkową. Pozornie tylko mogłoby wydawać się, że pojawiła się ona z niewiadomej przyczyny. Jeśli jednak prześledzimy uważnie rozwój ideologicznego ruchu społecznie postępowego, a zwłaszcza jeśli uchwycimy kie-

rankową tego rozwoju, wówczas zagadnienie inspiracji światopoglądowej ukaże się nam jako oczywista konsekwencja dotychczasowych przemyśleń.

Co jest kierunkową naszych poszukiwań ideowo-politycznych? Można by ją najogólniej zdefiniować jako dążenie do postępowego pod względem społecznym i zarazem dojrzałego pod względem doktrynalnym określenia udziału katolików w dokonującej się pod kierownictwem partii klasy robotniczej rewolucji socjalistycznej. Rzecz jasna, że to dążenie dotyczy również teoretycznej i praktycznej strony zagadnienia. Chodzi bowiem o to, by codziennej pracy milionów katolików wnoszących wspólnie z ludźmi niewierzącymi gmach socjalizmu w naszym kraju towarzyszyło przeświadczenie, że współuczestniczą w dziele sprawiedliwym i słusznym. Lub mówiąc innymi słowy chodzi o to, by współudział katolików w budownictwie socjalistycznym był współudziałem świadomym i wzbogacającym, znajdującym dojrzałą motywację w ich własnych przekonaniach światopoglądowych.

Ładunek ideologiczny zawarty w pojęciu inspiracji światopoglądowej wychodzi naprzeciw temu dążeniu. O tym jednak — za chwilę. Przed przystąpieniem do rozważań nad meritum zagadnienia warto bowiem jeszcze przypomnieć pewne trudności natury teoretycznej, które uwarunkowały w jakiejś mierze „per negationem” pojawienie się w publicystyce ruchu społecznie postępowego pojęcia „inspiracja światopoglądowa”.

Trudności, o których chcę mówić, wystąpiły w związku z koniecznością teoretycznego uzasadnienia naszego stanowiska zajętego pod koniec 1948 r. po stronie socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Ich podłożem była niezwykle istotna sprawa wzajemnego stosunku religii i polityki.

Przed wszystkim należało bowiem przezwyciężyć pokusę integracyjną łatwiną, wyrażającą się w próbach bezpośredniego uzasadniania określonego stanowiska politycznego czy określonego ustroju społeczno-gospodarczego prawami religijnymi. Możliwość popelnienia tego klasycznego błędu doktrynalnego, występującego pod różnymi postaciami w działalności politycznej katolików, zarysowała się również przed społecznymi postępowymi katolikami w Polsce. Została jednak w porę dostrzeżona i udaremniona.

W toku dyskusji ideologicznych doszło natomiast do ujawnienia się innej tendencji. Pojawiła się ona jako niezamierzony „produkt uboczny” jak najbardziej słusznych rozważań o ponadczasowej misji religijnej Kościoła, realizowanej niezależnie od warunków ustrojowych zmieniających się pod działaniem obiektywnych praw rozwojowych historii. Warto dodać, że rozważania te pozostawały w związku z coraz bardziej widocznym zjawiskiem „pseudoreligijnej mistyfikacji” kierowniczych kół świata kapitalistycznego, nadużywających uczuć ludzi wierzących dla swoich celów politycznych i sugerujących rzekomo konieczny związek katolicyzmu z kapitalistycznym ustrojem społeczno-gospodarczym, w przeciwieństwie do ustroju socjalistycznego. Wskazanie na najistotniejszą transcendentną istotę Kościoła katolickiego wymierzone było przeciw dokonywanym w tym zakresie na Zachodzie nadużyciom.

Podkreślając słusznie transcendentny charakter katolicyzmu, dokonując koniecznego rozróżnienia między tym „co boskie a co cesarskie”, nie można jednak rozumieć tego rozróżnienia w ten sposób, jakoby wierzenia religijne, wpływające w sposób istotny — jeśli nie są wierzeniami „z przyzwyczajenia” — na kształtowanie się światopoglądu członków Kościoła, miały żadnego związku z dziedziną życia politycznego. Co najwyższe były tylko normą negatywną zaangażowania politycznego. Pogląd taki nie jest słuszny. Nie został on zresztą nigdy sformułowany „expressis verbis” — raczej groziło niebezpieczeństwo jego milczącej, trochę bezradnej akceptacji.

W jakiej mierze wprowadzanie do naszych rozważań ideologicznych pojęcia inspiracji światopoglądowej ułatwia rozwiązanie naszkicowanych powyżej i swego czasu gorąco dyskusjonowanych zagadnień? W moim przekonaniu ułatwia ono utrzymanie prawidłowej doktrynalnej linii rozumowania w sprawie wzajemnego stosunku religii i polityki oraz pozwala na dojrzałą motywację światopoglądową współudziału katolików w budowie ustroju socjalistycznego, pojmowanego jako właściwy nasz epokę, historycznie konieczny rezultat rozwoju form życia społecznego. Warto inspiracji światopoglądowej polega więc na tym, że z jednej strony pozwala uniknąć błędnej z punktu widzenia doktrynalnego i dodajmy — absurdalnego z punktu widzenia zdrowego rozsądku uzasadniania określonego historycznie ustroju społeczno-gospodarczego niezmienną, „ahistoryczną” prawdą religijną, z drugiej zaś — przetrza ca pomost między tą prawdą a zmieniającą się rzeczywistością społeczną.

Nie można mówić o inspiracji światopoglądowej bez uprzedniego wyjaśnienia sobie znaczenia terminu „światopogląd katolicki”. Treść światopoglądu określa bowiem treść inspiracji światopoglądowej. Zagadnienie to rozwiązane zostało częściowo w artykule Władysława Seńki. Przypomnieć trzeba podkreśloną tam słuszenie różnicę, jaka zachodzi między światopoglądem a doktryną katolicką. Cechą specyficzną doktryny jest jej niezmiennosc. Światopogląd przeciwnie — jest dynamiczny. Czerpiąc bowiem swe podstawowe zasady z niezmiennych prawd religijnych i moralnych, uwzględnia zarazem współczesny stan rzeczywistości, która podlega stalemu rozwojowi. Treść światopoglądu katolickiego, jako światopoglądu uniwersalistycznego, dążącego do objęcia wszystkich przejawów życia, uwarunkowana jest zatem nie tylko treściami zawartymi w Objawieniu, ale również sumą wiedzy o rzeczywistości. Słusznie więc pisze Seńko, że światopogląd nie jest nam dany, ale zadany.

Można mieć natomiast do Seńki pretensję, że pewnych rzeczy nie dopowiedział. Warto np. zasygnalizować następujący problem: suma wiedzy o rzeczywistości kształtuje się różnie u różnych ludzi. W społeczeństwie klasowym wiedza ta niejednokrotnie jest wiedzą „tendencyjną”, zafalszowaną przez mniej lub więcej świadome przyjmowanie klasowego punktu widzenia. Czy zatem można przypisać światopoglądowi cechę przedmiotowości, która niewątpliwie przysługuje doktrynie katolickiej?

Wydaje mi się, że światopogląd

katolicki, jako że nie jest dany, ale zadany z natury rzeczy nie może być nigdzie „skodyfikowany”; tworzą go poszczególni katolicy. A ci „konkretni katolicy” reprezentują różny poziom intelektualny, poddani są naciskowi różnych środowisk społecznych. Znajduje to wyraz w niewątpliwym, empirycznie sprawdzalnym fakcie rozbieżnych postaw politycznych zajmowanych przez katolików w szczególności pod wpływem uwarunkowań klasowych.

Stwierdzenie tego faktu nie oznacza jednak wcale, by światopogląd katolicki nie określał w sposób jednoznaczny kierunek poszukiwań społecznych. Wyróżniając bowiem w jego treści dwa elementy: niezmienną prawdę religijną i etyczną oraz sumę wiedzy o rzeczywistości, trzeba pamiętać o tym, że nie są one zestawione mechanicznie. W rozważaniach o światopoglądzie nie można jednak z nich traktować z osobna. Używając porównania można by powiedzieć, że światopogląd katolicki nie jest mechaniczną sumą tych elementów, lecz organicznym stopem. Oznacza to, że każdy katolik, niezależnie od zajmowanej pozycji klasowej, zobowiązany jest w każdym wypadku patrzeć na rzeczywistość społeczną przez pryzmat obiektywnych prawd religijnych i moralnych, które są fundamentem światopoglądu katolickiego, jego „różnicą gatunkową”.

Co nam mówią te prawdy w odniesieniu do życia społecznego? Jako prawdy ze swej natury niezmiennie nie dają — rzecz jasna — konkretnych dyrektyw ustrojowych, nie określają bezpośrednio zajmowanego stanowiska politycznego. W przypisywaniu Objawieniu tego rodzaju funkcji tkwi istota intrygizmu. Jako prawdy dotyczące człowieka wskazują jednak wyraźnie każdemu katolikowi drogę, po jakiej zawsze powinien iść w swej działalności społecznej. Prawdy te ogniskują się wokół przykazania miłości Boga i bliźniego. Słusznie pisał Seńko w swym artykule, że „nie ma większego przykazania w chrześcijaństwie nad przykazanie miłości”. Stanowi ono nie tylko zwornik teoretyczny całej doktryny, ale i bezwzględna norma, którą każdy wierzący jest zobowiązany realizować. Zasada miłości Boga i bliźniego jest jednak nie tylko bezapelacyjnym nakazem, jest ona także niewyczerpanym źródłem inspiracji światopoglądu katolickiego, poprzez które dokonuje się wcielenie Słowa Bożego w historię. Przykazanie miłości Boga i bliźniego, które jest „siłą napędową” światopoglądu katolickiego posiada więc doniosłe konsekwencje praktyczne: wyznacza cel i motyw inspiracji światopoglądowej — służbę człowiekowi w imię miłości Boga.

Świadomość tego nie wyczerpuje bynajmniej problematyki związanej wokół pojęcia inspiracji światopoglądowej. Przeciwnie — rozpoczyna. Inspiracji światopoglądowej bowiem, płynącej z umiłowania człowieka — stworzenia Bożego, nie co ludzkie nie może być obce. Inspiracją objęty jest całokształt spraw dotyczących człowieka.

Światopogląd inspiruje nas do służby człowiekowi. Jak się z niej wywiążemy, czy potraktujemy to zadanie w sposób dojrzały i konsekwentny, czy też zadowolimy się rozwiązaniami półowocnymi, nie wyczerpującym wszelkich możli-

(Dokończenie na str. 2).



Sztokholm

CEL NAJWAŻNIEJSZY

O ŚWIATOPŁODZIE I POLITYCE

NIEMCY, ten rozległy kraj leżący w samym niemal sercu Europy są terenem, gdzie spotykały się w połowie dwudziestego stulecia dwa światy, dwie różne koncepcje społeczno-ustrojowe. Fakt ten i jego konsekwencje mają zasadnicze znaczenie dla rozwoju sytuacji międzynarodowej i przyszłości narodów Europy. Ślad ten rozumny obywatel Francji, Polski, Związku Radzieckiego, Anglii czy też jakiegokolwiek bądź innego kraju patrzy na współczesną problematykę niemiecką oczyma nie tyle obserwatora, co zainteresowanego. Każdy krok polityczny wobec Niemiec jest szeroko komentowany, staje się powodem wymiany zdań, poglądów, opinii i jest oceniany przez ogół nie tylko jako konkretne posunięcie polityczne, ale również z punktu widzenia całokształtu zagadnień i konsekwencji, jakie za sobą pociąga.

Ostatnie powojenne lata nauczyły nas wiele. Nauczony nas ostrożność politycznego widzenia oraz rozróżniania faktów politycznych i dzielenia je na takie, które przyczyniają się do odprężenia sytuacji międzynarodowej i ugiętości wzajemnego zaufania, oraz takie, które wyraźnie dążą do skomplikowania stosunków, wytworzących niebezpieczną psychozę wojenną.

Faktem stanowiącym poważny argument w pokojowej polityce obozu socjalistycznego, faktem, który ma zadecydować o rozwoju i układzie stosunków międzynarodowych była zakończona przed przerwaniem dniami moskiewska konferencja krajów europejskich w sprawie zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie, konferencja, której wynikiem jest uchwalenie wspólnej deklaracji rządów Związku Radzieckiego, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Republiki Czechosłowackiej, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Węgierskiej Republiki Ludowej, Rumuńskiej Republiki Ludowej, Bułgarskiej Republiki Ludowej i Albańskiej Republiki Ludowej. — Podpisana w dniu 22 grudnia br. w Moskwie Deklaracja powstała w wyniku zawarcia przez mocarstwa zachodnie tzw. układów paryskich, zmierzających do uzbrojenia Niemiec zachodnich i wciągnięcia ich do agresywnego bloku militarnego, wymierzonego przeciwko narodom, które po zrzuconiu faszystowskiej niewoli przyznały do organizowania swego bytu narodowego na nowych, postępujących słusznych założeniach ustrojowych. Rzecz jasna, że wobec tych nieważnych zapewnień politycz-

owania wojennych i nieustannego straszenia atomowego społeczeństwa naszego obozu muszą przyjąć odpowiednią postawę.

Konferencja moskiewska postawiła sprawę bezpieczeństwa i pokoju w Europie w sposób nie pozostawiający miejsca na niedomówienia. Wszyscy przedstawiciele państw uczestników konferencji wypowiedzieli się — zgodnie z jedyne słusznymi propozycjami radzieckimi — za systemem rokowań, jako pokojową drogą regulowania spornych problemów i stanowisk politycznych. Istotą uchwalonej w Moskwie deklaracji jest fakt, że zwraca się ona całym swoim moralno-politycznym autorytetem przeciwko tworzeniu jakiegokolwiek koalicji czy bloków państw. Nietrudno bowiem odgadnąć do jakich skutków doprowadzić mogły tego rodzaju tendencje.

Przecież jak daleko wstecz sięgnąć w historię stosunków międzynarodowych, zawsze zagadnieniem wzajemnego bezpieczeństwa opierało się na równowadze sił. Równowaga ta — zwykle mniej lub więcej problematyczna — także wzmocniona była polityką z pozycji siły, taką samą, jaką teraz znowu obsegujemy na Zachodzie. Po prostu jedno z mocarstw dysponujące znaczącym potencjałem gospodarczym i militarnym tworzyło koalicję przeciw innemu państwu czy zespołowi państw. W ten sposób powstawały pakiety i bloki, których idea nacelną była zazwyczaj zakamuflowana wspólnota interesów kilku przemysłowych potęg. Oczywiście takie koalicje nie miały w sobie nosić wystarczającą ilość sprzeczności, by prędzej czy później doprowadzić do zbrojnego konfliktu. Wtedy politycy ustępowali placu generałom i zaczynała się wojna, ta — jak to określa komentator z filmu „Fan Fan La Tulipe”, jedyna zabawa możliwa, w której lud brał udział.

Nie bez powodu przypomniałem na początku niniejszego artykułu sytuację wewnątrz-niemiecką. Przeciwnie centralnym zagadnieniem w dziele utrwalenia pokoju w Europie jest przede wszystkim — przynajmniej w obecnych warunkach politycznych — uregulowanie kwestii niemieckiej. Tutaj konieczne jest — jak głosi Deklaracja — wyrzeczenie się planów remilitaryzacji Niemiec zachodnich i wciągnięcia ich do ugrupowania wojskowych, co usunie główną przeszkodę na drodze do zjednoczenia Niemiec na pokojowych i demokratycznych zasadach oraz osiągnięcia porozumienia w sprawie

przeprowadzenia w roku 1955 wolnych wyborów ogólnoniemieckich i utworzenia na tej podstawie ogólnoniemieckiego rządu jednolitego, demokratycznego, miłującego pokój Niemiec.

Związek Radziecki, jako inicjator tego ostatniego wielkiego spotkania przedstawicieli krajów europejskich, zaproponował udział w konferencji wszystkim państwom europejskim oraz rządowi Stanów Zjednoczonych. Wiadomo jednak, że inspirowane przez polityków z Departamentu Stanu państwa zachodnie odrzuciły propozycję radziecką, tłumacząc swoją odmowę zbyt wczesnym terminem zwolnienia konferencji. Dobrze jednak wiemy, że nie to było powodem abstencji w Moskwie państw zachodnich. Wystarczy przytoczyć wypowiedź min. Edena, który odpowiadając w Izbie Gmin na pytanie Attleea w sprawie noty radzieckiej złożył oświadczenie: *Moja wstępna opinia o nocie radzieckiej jest taka, że nie zawiera ona propozycji, które nie byłyby już wystawiane uprzednio, poza propozycją terminu ogólnej konferencji europejskiej wyznaczoną na 29 listopada. Nota radziecka jest otwarcie i wyraźnie wymierzona przeciwko ratyfikacji układów paryskich.* Jak wiadomo Wysokiej Izbie rząd JKM uważa, iż naszym pierwszym zadaniem jest ratyfikacja tych układów i wprowadzenie ich w życie. W dniu 25 października mówiliśmy z tego miejsca, że jeśli uda nam się stworzyć na Zachodzie jednomyślnie celową i stabilizującą, ustanowioną zostanie podstawą, na której będziemy mogli szukać porozumienia ze Wschodem.

A więc już zupełnie niedwuznacznie: Wehrmacht jako argument w lansowanej polityce z pozycji siły.

Problem niemiecki jest problemem bezpieczeństwa Europy i wobec tego oczywistego faktu nie można mówić o jego rozwiązaniu, nie można mówić o zjednoczeniu Niemiec poprzez remilitaryzację. Świat jest za cisną — mówił Premier Cyrankiewicz — by pomieścić militarnym Niemiec i wolne narody. Wolne narody poniosły ze strony zaborczych dążeń niemieckich zbyt wiele krzywd, aby sprawę tę pozostawiać w sferze niedomówień. I przed takim właśnie widzeniem rozwoju problematyki niemieckiej wyraźnie przestrzega Deklaracja mówiąc: *Państwa uczestniczące w niniejszej konferencji oświadczają, że w wypadku ratyfikacji układów paryskich zdecydowane są przedsięwziąć wspólne środki do zjednoczenia sił zbrojnych i ich dowodzenia, jak również inne środki niezbędne do umocnienia ich zdolności obronnej, by ochronić pokojową pracę swych narodów, zagwarantować neutralność swych granic i terytorium oraz zapewnić obronę przed ewentualną agresją.*

Konferencja moskiewska przetrzeźwia więc zupełnie wyraźnie przed zgubną i zawadną polityką z pozycji siły, której zasadniczym elementem jest utworzenie nowego bloku wojennego w postaci tzw. unii zachodnio-europejskiej wymierzonej przeciwko krajom postępu. Z takiej sytuacji politycznej rządy państw uczestniczących w spotkaniu moskiewskim potrafiły wyciągnąć odpowiednie wnioski. Narody naszych państw — czytamy w Deklaracji — świadome są tego, że układy paryskie znacznie zmniejszyły groźbę nowej wojny. Nie dadzą się one zaskoczyć rozwojem wydarzeń.

Narody nasze są pewne swej siły i swych niewyczerpanych zasobów. Nigdy jeszcze siły pokoju i socjalizmu nie były tak potężne i zwarte jak obecnie. Wszelkie próby napa-

ści, rozpętania wojny i zakłócenia pokojowego życia naszych narodów spotykają się z druzgocącą odprawą...

Narody nasze pragną żyć w pokoju i utrzymać przyjazne stosunki ze wszystkimi innymi narodami. Właśnie dlatego broniąc również nadal ze wszelkim miar sprawę pokoju i powszechnego bezpieczeństwa, uczynią wszystko co niezbędne, aby zapewnić sobie dalszą pokojową drogę rozwoju i należyte bezpieczeństwo swych państw.

Jeśli się przyjrzeć z bliska historii stosunków politycznych w Europie widać, że w ciągu ostatnich stulecia dwa kraje — Francja i Polska — jako bezpośredni sąsiedzi Niemiec były najczęściej atakowane i najwięcej wycierpiały ze strony zaborczej polityki niemieckiej. Fakt ten ma znaczenie nie tylko historyczne. Wszyscy ludzie w Polsce i wszyscy ci Francuzi, dla których wojna nie jest obiektem brudnych spekulacji, lecz brzemieniem nieszczęść, krzywd i wyrzeceń — wszyscy ci ludzie dobrze rozumieją, że każdy krok ze strony militarystów niemieckich skierowany przeciwko Polsce jest ciosem wymierzonym przeciwko Francji — i odwrotnie. Toteż teraz, kiedy pod naciskiem zaocentowanych inspiatorów uzbrojenia odwetowego niemieckiego, Francja staje wobec ratyfikacji układów z Londynu i Paryża, z dużą wiarą i nadzieją patrzy na tych Francuzów, którzy aktywnie występują przeciwko remilitaryzacji republiki Adenauera, przeciwko tej imprezie rządowej, która — podobnie jak poprzednie — w lipcu EWO — nie może być już niezmiernie ciekawym, jak tylko wspólną przegranych interesów.

Doceniamy to coraz szersze kręgi społeczeństwa francuskiego, docenia ten fakt coraz więcej polityków francuskich. Dowodem tego jest chociażby ostatnie wystąpienie generała de Gaulle, który widząc niebezpieczeństwo, wezwał publicznie rząd swojego kraju do nawiazania rozmów na temat bezpieczeństwa Europy ze Związkiem Radzieckim jeszcze przed debatą parlamentarną nad układami paryskimi. Apel gen. de Gaulle — a więc polityka dalekiego od sympatii dla naszego obozu — jest również w dużej mierze dowodem słuszności i dużej wartości moralnej konferencji moskiewskiej, która obradując w nadzwyczaj trudnych warunkach politycznych pozostała kwestię bezpieczeństwa zbiorowego nadal na planie idei rokowań.

Zdajemy sobie dobrze sprawę z faktu, że jeśli Francja powie nie, nie uda się stworzyć nowego Wehrmachtu, a więc nie usunie się ostatnich szans zjednoczenia Niemiec i zlikwidowania tego zarzewia konfliktu.

Politycy z Departamentu Stanu wymyśliли dla Francji mit o pojednaniu. Oczywiście z Niemcami Adenauera. Lecz o jakim tu można mówić pojednaniu, skoro sam belgijski minister do spraw ogólnoniemieckich, fektyczny kierownik wydziału do spraw Alacji i Lotaryngii Jakub Kaiser wydechał: *gdy myślę o katedrze strasburskiej, ścisła mi się serce, a organ przemysłowców zachodnio-belijskich Wirtschaftsblatt grozi, że Francuzi zapominają, iż w 1940 r. ich siła militarna załamała się w ciągu kilku tygodni...*

Niebezpieczeństwo grozi Francji nie ze strony Wschodu, lecz ze strony odwetowych niemieckich. Dowodem tego są głosy opinii francuskiej, które nieustannie nawołują do rokowań. Lecz czy tych głosów zechce usłuchać premier Mendès-France — to już inna sprawa.

Tadeusz Pajda

Na pozór mogłoby wydawać się, że poglądy polityczne katolików zachodnio-niemieckich wyrażają się przez reszty w reakcyjnej, faszystowskiej postawie reprezentowanej przez adenauerską Unię Chrześcijańską - Demokratyczną. Na szczęście tak nie jest. Nie tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej, ale również w Republice Federalnej ujawnia się w łonie społeczeństwa katolickiej nurt odrodzenny, którego istotą jest protest przeciw wżądaniu religijnej misji Kościoła z rozkładającym się ustrojem kapitalistycznym. Wyrazicielem tego nurtu po tamtej stronie Łaby — nurtu jeszcze niemałego, przytoczonego oficjalną propagandą kół rządzących — są m.in. poglądy religijno-filozoficzne i polityczne Ludwika Zimmerera, głoszone na łamach pisma „Glaube und Vernunft”. Warto nimi bliżej się zająć tym bardziej, że mimo wielkiej presji administracyjno-politycznej Adenauera na wszelkie próby ujawniania postępowych tendencji, są one wyrazem odwagi i uczciwości. Ludwik Zimmerer nie zawsze reprezentuje stanowisko w pełni słuszne, z którym można się zgodzić. Można się o tym przekonać przeglądając numery pisma „Glaube und Vernunft”, w którym Zimmerer atakuje z równą pasją politykę Adenauera jak i termin „światopogląd katolicki”.

Wielki szacunek, do jakiegoż zmusza każdego sylwetka człowieka, u którego nie ma cienia rozbieżności między teorią a praktyką — tym bardziej powoduje nas do dyskusji w tych punktach, gdzie stanowiska nasze się różnią. Polemizując z Zimmererem czynimy to właśnie z dużego szacunku dla jego teoretycznych, bardzo często niezmiernie nam bliskich przemysleń, do których doszedł prawie samotnie, w najtrudniejszych warunkach Niemiec zachodnich, mając przeciwko sobie przytłaczającą większość opinii katolickiej, zagubionej w konserwatywnym i mieszczańskim wygodnictwie.

Niechcąc do operowania pojęciem „światopogląd” wypływa u Zimmerera z formalnego i semantycznego skojarzenia tego pojęcia z terminem nadużywanym przez faszystowskich teoretyków, dla których pojęcie światopoglądu narodo-socjalistycznego istotnie oznaczało „uteczkę w irracjonalność przed samotnością myślenia i przed zimnym, jasnym rozumowaniem.” Tej swojej niechęci daje wyraz w języcznej, ujętej, domnie gdy pisze: „światopogląd jest koszarowaniem myślenia i utwierdzaniem sobie życia, skoro dostarcza swoim wyznawcom stałych miar wszelkich ocen.”

Oprócz tych formalnych są również przyczyny głębsze, które składają się do takiego stanowiska. Nad nimi trzeba się zastanowić. Centralny problem stawiany przez Ludwika Zimmerera, to zagadnienie postawy chrześcijańskiemu w społeczeństwie. Stawiając ten problem Zimmerer dostrzega równocześnie nieodłączną prawdę od niego zawiąski nieprzerwanego wielu chrześcijan do dojrzałości zaangażowania się we współczesność. Ślad częste upraszczenie jej problematyki. Łatwiej bowiem jest przyzwyczyć się do jakiegoś kolumny i z nią razem marszować — zwłaszcza w Niemczech, gdzie postawa „zusammen-marschieren” ma swoją nieszlawą tradycję — niż samodzielnie myśleć. A Zimmerer chce właśnie samodzielnie myśleć. Nie chce — jak większość chrześcijan w Republice Związkowej — stać się samodzielną.

Kiedy chrześcijanin — jego zdaniem — traci samodzielność? Może

ją utracić w dwojakim sensie: w sensie duchowym i w sensie świeckim. W sensie duchowym traci człowiek samodzielność wtedy, gdy schlebia samemu sobie. Swoją samodzielność w sensie duchowym może chrześcijanin utracić jednak wtedy, gdy w kwestiach dopuszczalnej samodzielności za katolika myśli jego proboszcz. „Niesamodzielny staje się w ten sposób sam Chrystus, prowadzony niejako za rękę przez księdza proboszcza czy kierownika jakiegoś katolickiego związku.”

Nagminnym zjawiskiem według Zimmerera jest niesamodzielność chrześcijan w sensie świeckim. Kiedy ona zachodzi? Wtedy, gdy powtarzamy czyjejkolwiek — obojętnie słuszne czy fałszywe — sądy. I oto właśnie światopogląd sądu w otoczeniu Zimmerera rodzajem „biura werbkunowego dla ludzi niezadowolonych do samodzielnego myślenia”. Na szacunek, zdaniem Zimmerera, zasługują jedynie ludzie, którzy mają odwagę obywatela się bez światopoglądu, a gdy są chrześcijanami — poprzestawania na wierze w Boga, w Trójcę Jedynego i na własnym rozumie. Tu także najgłębsze uzasadnienie nazwy „Glaube und Vernunft”, którą określaną jest cała grupa zespolona wokół Ludwika Zimmerera.

Zimmerer traktuje światopogląd jako zespół ras uszlachonych sądów, które uniemożliwiają albo przynajmniej hamują poznawcze aspiracje człowieka. Ślad niechcąc Zimmerera do światopoglądu. Nie dostrzega jednak Zimmerer, że światopogląd to właśnie zespół zasad i twierdzeń ujętych dynamicznie, podlegających stałej konfrontacji z otaczającą nas rzeczywistością historyczną. W naszym rozumieniu chrześcijaństwo przestaje być na swej wierze i rozumie — to już ludzie budujący swój światopogląd. Wszak zawiera on z jednej strony ziemną doktrynę katolicką, a z drugiej zaś uwzględnia, dzięki rozumowemu poznaniu, ziemną rzeczywistość doczesną, którą potrafi nie tylko ocenić, ale wypowiedzieć z niej także wnioski do praktycznego działania, działania, które z kolei ma wpływać na całą rzeczywistość.

Niedostrzeżenie dynamicznego charakteru światopoglądu plynie u Ludwika Zimmerera stąd, że pobawiony jest on możliwością takiej działalności organizacyjno-politycznej, która wywierałaby wpływ na życie jego kraju. Niechcąc do uznania takiego charakteru światopoglądu potęgowana jest u niego jeszcze dodatkowo tym, że chrześcijaństwo, który czerpie inspirację ze swojego światopoglądu do działalności politycznej skierowaną ją w konkretnych warunkach Niemiec zachodnich na tory fałszywe, sprzeczne z rozwojem historycznym, wzywając tym samym wrażenie, jakoby zasieg chrześcijańskiej inspiracji światopoglądowej kończył się na epoce kapitalizmu. Pełen pasji protest przeciwko używaniu określenia światopogląd chrześcijański czy katolicki wynika więc u Zimmerera w gruncie rzeczy ze zrozumienia tego tragicznego błędu.

Jeśli czyjkolwiek działalność polityczna nosi w sobie niebezpieczeństwo powtórzenia ponurych lat wojny — trzeba się jej zdecydowanie przeciwstawić. Jeśli działalność polityczna chrześcijanin nosi w sobie to niebezpieczeństwo, tym większy jest obowiązek przeciwstawienia się jej ze strony chrześcijan. Dlatego z nielsłabnącą pasją zwołacza Zimmerer politykę Adenauera.

Walkę tę toczy Zimmerer z jasno sprezwanywaną pozycją ideologiczną. Przejrza ta jest największą chlubą

Andrzej Krasniński

Wokół zagadnienia inspiracji światopoglądowej

(Dokończenie ze str. 1).

wych w tym zakresie srodków — to już sprawa naszego sumienia, naszej odpowiedzialności wewnątrznej wobec własnych przekonań. Sprawa ta nabiera zwłaszcza znaczenia w odniesieniu do skomplikowanej problematyki życia społecznego. Tutaj nie wystarczy chcieć skrzyć człowieka, tutaj trzeba również wiedzieć w jaki sposób, w określonych historycznie warunkach, można to zadanie skutecznie realizować. Trzeba więc zastrzec się o znajomości praw rządzących biegiem dziejów, stale poszerzać zakres swej wiedzy o rzeczywistości, którą chcemy przekształcać w imię przykazania miłości. Słowem — miłość, aby była skuteczna i dojrzała, musi zrodzić poznanie. Taki jest imperatyw inspiracji światopoglądowej, który jeśli jest konsekwentnie realizowany, umożliwia katolikowi znalezienie słusznej drogi nawet mimo nacisku swego np. konserwatywnego środowiska społecznego.

Czy jednak ten imperatyw inspiracji światopoglądowej znajdował zawsze właściwy odzew? Powiedzmy sobie otwarcie — nie. Jakim były tego przyczyny? Dotknąłem już marginesowo tego zagadnienia przy okazji rozważań o światopoglądzie katolickim. Chciałbym tu wskazać raz jeszcze na przyczynę — moim zdaniem — najbardziej istotną, którą można by określić jako działanie „współczesnika klasowości” w rozumieniu oczywistych nakazów światopoglądu katolickiego. Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, że związki łączące środowiska katolickie, a zwłaszcza hierarchię kościelną, z rządzącymi klasami formacji

feudalnej i kapitalistycznej, wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się w ciągu stuleci dominującej, społecznie konserwatywnej funkcji katolicyzmu, ignorującej procesy rozwoju historii, a przez to zniekształcającej działanie inspiracji światopoglądowej. Odrodzenie postępowej społecznej funkcji światopoglądu katolickiego jest naszym aktualnym zadaniem, wywołującym z historycznym adekwatnego rozumienia inspiracji światopoglądowej.

Uwagi zawarte w tym artykule — podkreślam raz jeszcze — nie ogarniają całokształtu problematyki. Skreślone zostały w związku z artykułem Władysława Senki i oczywiście mają charakter dyskusyjny. Dalsza wymiana poglądów na ten temat byłaby rzeczą ze wszelkim miar pożądaną.

Wojciech Wieczorek

Przeciwko wojnie

(Dokończenie ze str. 1).

degeneracji instytucji parlamentarnych.

I choć — na krótką metę opierając się na ciagle jeszcze uszczelnianym pieniądzu — zwolennicy remilitaryzacji mogą odnosić efemeryczne sukcesy, ostateczny wynik tej walki jest przesądzony. Świadomość społeczeństw rośnie i nikt nie zdola odwrócić tego procesu.

Złowieszcze zaś machinacje polityków zachodnich, niosąc groźbę neohitlerowskiego Wehrmachtu, mają przynajmniej ten pozytywny skutek, że otwierają oczy wszystkim uczciwym ludziom, którzy mają poczucie odpowiedzialności za przyszłość swoich narodów i jednoczą ich w oporze przeciwko tej polityce a zbliżają do naszego obozu nawet prawicowców.

Nie po raz pierwszy tak się dzieje, że jaskrawo drastyczne posunięcia polityki imperialistycznej w bilansie ogólnym przynoszą skutki wręcz przeciwne zamierzonym. Należy to już powtórzyć, o „specjalności” sekretarza Stanu Dullesa. Pamiętamy niedawne wypadki w Gwatemali. Nieszczęsny los tego kraju zasługuje na współczucie i solidarność z bohaterami obrońcami swojej niepodległości. Porażkę jednak w skali światowej poniosły USA przez swą brutalną ingerencję. Korzyści wynikające z

zawładnięcia jeszcze jednym krajem są minimalne w porównaniu z mobilizującym przeciwko imperializmowi efektem, jaki na całym świecie wywołują ta ingerencja. Trzeba było słuchać w Stokholmie wypowiedzi delegatów Ameryki Łacińskiej. Czuć w nich pełny ogólnonarodowy sprzeciw, czuć w nich rosnącą z dnia na dzień waleki o niezawisłość polityczną, ekonomiczną i kulturalną. Ruch pokójku skupia w tej chwili wszystkie bardziej wpływowo osobistości — nie tylko artystów, ale również polityków i wojskowych. Szczególną wymowę ma bardzo ostre wystąpienie w Stokholmie prof. Jose de Castro, przewodniczącego F.A.O. Ogólnoswiatowej Organizacji Zatrudnienia i Rolnictwa Narodów Zjednoczonych. Opierając się na bogatym materiale statystycznym zgromadzonym przez F.A.O. — de Castro w sposób udokumentowany przedstawił los dwóch trzecich ogólności mieszkańców naszej planety, których egoizm grupki posiadaczy zmusza do życia w ustawicznym głodzie i skrajnym niedostatku.

Wobec tych faktów na nic się nie zda zreczność dyplomatów, ani szumne słowa o wolności, którymi tak szermują politycy amerykańscy. Gdyby nawet Dulles zastąpił inny, mądrzejszy polityk, nie zdolalby on pozyskać dla Stanów Zjednoczonych sympatii owych głodujących milionów ludzi. Protest i

bunt — przecieko — wyszukiwaczom rośnie z każdym rokiem.

Gdy mowa o takich krokach polityki USA, jak Gwatemala — mimo woli przychodzi na myśl rozważania kwatermistrzów polityków z czasów okupacji, którzy zastanawiali się nad problemem, co by było, gdyby Hitler zbiegł do pozyskanych narodów podbitych. Rozważania u samych podstaw fałszywe, historyczne. Istotą bowiem hitlerizmu jako fenomenu historycznego było to, że był próbą zatrzymania normalnego biegu historii, że w samym swoim założeniu sprzeciwiał się rozwojowi społecznemu, sprzeciwiał się aspiracjom narodów. Dlatego też Hitler musiał z każdym rokiem coraz bardziej jawnie i brutalnie używać siły jako jedynego narzędzia swej polityki.

Nie myślę analogii posunąć zbyt daleko. Inny jest moment historyczny, inne okoliczności, inna wręcz skala obecnie narastającego konfliktu.

Istnieje wszakże podstawowa analogia w postaci owego determinizmu, który nieuchronnie obrońców starej, zdegenerowanej struktury przeciwstawia naturalnym aspiracjom społeczeństwa. Nawet na przestrzeni krótkiego okresu ostatnich lat widzimy, jak Stany Zjednoczone coraz częściej uciekają się do siły. Zaczęło się od atomowych groźb, po czym nastąpiły bezpośrednie interwencje wojskowe, brutalna ingerencja, dawanie niepodległości narodów. Dlatego też nie jest dzielnym przypadkiem, że amerykańscy „szermierze wolności” znaleźli w

Europie jedynych oddanych sojuszników w postaci hitlerowców i esesmanów. Bo przecież dla nikogo nie może ulegać wątpliwości, że nowy Wehrmacht z nich będzie się rekrutował.

Ale powróćmy do konkretnej, aktualnej sytuacji politycznej. Chwilą jest zbyt poważna, by można było snuć bezmyślnie analizy i teoretyczne rozważania. Zagadnienie na którym musimy dziś skupić całą uwagę, to walka z ratyfikacją układów londyńskich i paryskich.

Kierowniczo polityki USA, Wielkiej Brytanii i Francji z desperacją uporem pragną przerwania ratyfikację nie tylko, że zależy im na tym, aby dopiero po niej nastąpił rokowań wielkiej czwórki.

Sądzę, że po wprowadzeniu w życie układów, a przede wszystkim — po przerwaniu zawartej w tych układach remilitaryzacji Niemiec zachodnich, będą mieć silniejszą pozycję w rozmowach ze Związkiem Radzieckim i tym łatwiej będą mogli narzucić swoje postulaty. Już dziś ten złudzenia muszą się rozwiać. Gdyby rzeczywistość zdolał oni narzucić Europie uzbrojenie dwuczłonowe — niemieckich — nie ich wzmocniłby ten krok; wzmocniłby on i zmobilizował naszą czujność i nasze siły, a także siły całego naszego obozu. Nie ma Polaka, który uważałby za możliwe przyglądać się bezczynnie powstawaniu neohitlerowskiej armii. W tej sprawie jedynomyślność narodu jest absolutna i będzie on wolał zdobyć się na wiele wyrzeceń, aby przestawić odwetow-

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartał 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 5-50-11 (16). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie Wileśodrukowe RSW „Prasa” W-wa Marszałkowska 3/4 Zam. Nr 2782 5-B-150142

Jej twórcy. Tezy padają ostro i bezkompromisowo. Czy są dla ich autora — i dla nas — bolesne? Bez wątpliwości. Zabieg chirurgiczny jest zawsze bolesny. Trafnie przeprowadzony, jest jednak pierwszym krokiem do uzdrowienia.

Duchowieństwo niemieckie w Republice Federalnej w całości popiera politykę obecnego rządu zachodnio - niemieckiego. Przyczyny:

1. Błąd „partii katolickiej”, która rzekomo ma reprezentować polityczne interesy wszystkich chrześcijan. W rzeczywistości jest reprezentantem interesów określonych klas społecznych. Chrześcijaństwo stało się dogodną wywiszką obliczoną na zdobywanie głosów.

2. Duchowieństwo zachodnio - niemieckie na ogół zajmuje postawę reakcyjną zmierzającą do wywierania wyłącznego prawie wpływu na życie polityczne. Postawa ta wynika z lęku przed nowym laickim porządkiem społeczno - gospodarczym, który utożsamiany jest ze zświeczeniem chrześcijan. Dostrzegając proces odejścia współczesnego świata od form sakralnych, duchowieństwo zachodnio - niemieckie nie może oprzeć się pokusie, że w dwóch akhrześcijańskich ustrojów panujących dzisiaj na świecie uda się jednak doprowadzić świat zachodni, niejako „za rączkę”, z powrotem do chrześcijańskiego porządku średniowiecza.

3. Zacofane wychowanie duchowieństwa dające się odczuć najdotkliwiej w braku dostatecznej znajomości obiektywnych praw rządzących rozwojem współczesnego świata.

Czy istnieje inna postawa? Zimmerer widzi ją w trzech odmianach.

Pierwszą określa jako postawę tzw. ścisłych teologów. Jest to grupa teologów oderwanych od życia, którzy nie interesują się tak „przyziemnymi” sprawami jak polityka.

Druga postawa to pacyfści z zasady i dlatego przeciwni polityce rządu prowadzącego wyraźny kurs wojenny.

Wreszcie duchowni lewicujący, którym brak jednak ideologicznej precyzji własnego stanowiska.

Grupy te są bardzo nieliczne, tak że zasadnicza odpowiedź na pytanie: kto robi politykę zachodnio - niemiecką? — brzmi u Zimmerera jasno i ostro: Amerykanie i duchowieństwo katolickie. To ostatnie przede wszystkim wskutek wpływu na wiarę politykę rządu, pełnego popierania Adenauera. Zimmerer nazywa to teologią rządową.

A jaka jest postawa świeckich? Świeccy głoszą „po chrześcijańsku” na CDU/CSU, ponieważ nie rozróżniają zakresu koniecznej jednocy w sprawach religijnych od zakresu dopuszczalnej i potrzebnej samodzielności w sprawach politycznych. Uważają, że takte oddanie głosu jest ich chrześcijańskim obowiązkiem. Wystąpienie księży uzasadniających prawdami wiary politykę rządu, nie przyjmują jako przekroczenie kompetencji, ale jako normalny przejaw duszpasterskich obowiązków duchowieństwa. Wybierają chrześcijańską demokrację nie dlatego że są przekonani o słuszności jej polityki, lecz dlatego, ponieważ są przekonani, że tak trzeba wybierać. Liczba tych, którzy w związku z tym odwrócili się od Kościoła — ponieważ wprawdzie w Chrystusa, ale nie chcą być reakcjoniistami — nie może być dokładnie podana — pisze Zimmerer.

Odwaga, śmiała jest diagnoza i ocena całokształtu oficjalnej polityki Republiki Związkowej: f a s z y z m w y d a n i u u l e p e z o n y m. Dwadzieścia lat temu faszyzm niemiecki wystąpił w imię Trzeciej Rzeszy. Obecnie występuje w imię „chrześcijańskiego Zachodu”. Wydawałoby się — sytuacja zupełnie odmienna. Co jest wspólne?

— wojujący antykomunizm, który wszelkie zło przypisuje wyzwoleńczym dążeniom klasy robotniczej;

— odwoływanie się do instynktów zbiorowych takich jak strach, zemsta, która powoduje poczucie niestabilności wśród warstw zagrożonych historycznymi procesami rozwojowymi. Faszyzm dochodzi do władzy i utrzymuje się przy niej właśnie dzięki roznamięcaniu nastrojów zagrożenia a nie dzięki • historycznej konieczności, ta

bowiem działa w ostateczności przeciwko niemu;

— pomoc ze strony wielkiej burżuazji, która od dawna używa odpowiednich hasł i środków dla obrony własnych pozycji i organizacyjnego rozbięcia klasy robotniczej;

— dobór przeciwników politycznych, którymi są nie tylko komuniści, lecz także socjaldemokracja i przynajmniej w teorii liberalizm.

Czy istnieją także różnice? Oczywiście. Pierwsze wystąpienie faszyzmu niemieckiego opierało się „ideologicznie” na germańskich pierwiastkach przeszłości. Drugie szuka oparcia w tradycji zachodnio - chrześcijańskiej. Tym samym uzyskało sobie nietajoną sympatię i poparcie nawet bardzo wysoko w hierarchii Kościoła postawionych ludzi. Za pierwszym razem wybór przedstawiał się dla konserwatywnie myślących katolików od strony dwóch negatywów: faszyzm hitlerowski czy komunizm? Wybór padł oczywiście na faszyzm. Obecnie Adenauer jako tzw. chrześcijański polityk wyklucza powstanie problemu mniejszego zła dla reakcyjnej opinii katolików. Wszystkie bałamtne, faszyzowskie cechy jego polityki są z góry kwitowane i usprawiedliwane jako chrześcijańskie. Dla nas katolików ta odmiana faszyzmu jest specjalnie bolesna, ponieważ zaprowadziła kierownictwo żoła katolicyzmu zachodnio-niemieckiego w ślepa uliczkę.

Co czynić w takiej sytuacji? Odpowiedź na to pytanie świadczy o wartości przemysłów Ludwika Zimmerera. Jest to odpowiedź, jakiej udziela na to pytanie wszystkie postępowe ośrodki polityczne katolików, niezależnie od warunków w jakich działają. Warto ją więc przytoczyć w całości: „Napięcia, jakie powstały między nami katolikami wskutek różnych stanowisk politycznych nie mogą być przesłaniane. Wręcz przeciwnie, trzeba je ujawniać w całej ostrości a przez to jeszcze je powiększać. Ale równocześnie powinny być one znoszone z miłością i chrześcijańską cierpliwością. Stanowi to niewątpliwie wielkie wymaganie wobec naszej wiary. Jeśli wyklucza się jakąś mniejszość, która wie czego chce i odpowiada przed Bogiem i ludźmi za to co chce, z „katolickich” stowarzyszeń, to oznacza to, że miłość ta i cierpliwość nie jest dostatecznie silna. Społeczność chrześcijańska, tj. społeczność w Chrystusie... zamienia się w społeczność jakiegoś stowarzyszenia”. Zimmerer ma tu na myśli organizacyjne wykluczenie ze stowarzyszeń katolickich tych, którzy nie godzą się z polityką rządu Adenauera, ponieważ rozważa w pierwszym rzędzie stosunki zachodnio - niemieckie. Tym niemniej jest to zagadnienie, które traktować można i trzeba na szerszej płaszczyźnie.

Na płaszczyźnie odwagi decyzyjnej przedstawienia się naciskowi reakcyjnej opinii katolików w imię niezachwianego przekonania o słuszności własnej postępowej postawy. Zagadnienie aktualne w pewnej mierze także jeszcze u nas w Polsce. Zaostrożenie konfliktu politycznego wewnątrz społeczności katolickiej, o czym tak nieważnicie mówi Zimmerer — jest istotnie jedyną drogą wyjścia z impasu, którego istotą jest mniej lub więcej uświadomione traktowanie chrześcijaństwa jako nadbudowy upadającego kapitalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego. Chodzi o to, aby można było ukażać niewyczerpane wartości chrześcijaństwa, z których jego wyznawcy będą czerpać natężenie do pracy nad doczesnym dobrem wspólnym w ustroju sprawiedliwości społecznej. Wejście w nowy świat możliwe jest tylko przez oderwanie chrześcijan od starego i skierowanie ich uwagi ku nowemu. Postulat zaostrożenia konfliktu politycznego wewnątrz społeczności katolickiej płynie więc z zasadniczej troski o autentyczny katolicyzm i prawdziwą jedność katolików w sprawach koniecznych.

Rudolf Buchala

Ks. WACŁAW EBOROWICZ

Św. Augustyn o Niepokalanym Pojęciu Najświętszej Maryi Panny

ROK bieżący, setny od ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Pojęcia Najświętszej Maryi Panny, ma ześrodkować nie tylko pobożność wiernych, ale i wysiłki intelektualne katolików wokół tej prawdy. Między innymi mamy poznać, jak Bóg powoli odsłaniał tajemnice skarba objawionej nauki o Matce Bożej. W obecnym roku przypada inny jeszcze jubileusz, mianowicie 1600 rocznica urodzin wielkiego Doktora Kościoła, św. Augustyna. Jest rzeczą zrozumiałą, że tego ostatniego jubileuszu nie da się porównać z pierwszym. Niemniej nie zabraknie w tym okresie również holdów składanych wielkiemu Nawróconemu. Bez obawy sztucznych powiązań możemy wyszukać w bogactwie myśli augustyńskiej parę cennych uwag związanych w pewien sposób ze wspomnianym dogmatem.

Prawda o Niepokalanym Pojęciu jest zarazem stara i nowa. Jest pierwszym z dogmatów podanych wiernym w okresie ostatnich 100 lat, a jednocześnie jest prawdą starą — tak dawną jak chrześcijaństwo, każda bowiem nauka ogłoszona wiernym jako dogmat musi znajdować się w źródłach Objawienia, tj. w Piśmie św. lub Tradycji. Kościół jest żywym organizmem i rozwija się nie tylko pod względem organizacyjnym, czy terytorialnej ekspansji głoszonej Prawdy, ale także w zakresie rozumienia i wykładni Objawienia, którego szerzenie powierzyl mu Chrystus. Niektóre prawdy Kościół podawał od początku wiernym do wzięcia (np. bóstwo Pana Jezusa). Inne natomiast, zawarte w źródłach Objawienia w sposób mniej wyraźny niż pierwsze, później dopiero dojrzały do publicznego określenia, przechodząc przez okres dyskusji. W tych wszystkich etapach ewolucji dogmatycznej bierze udział cały Kościół naucający, czyli papież i biskupi oraz Kościół słuchający, tj. wierni. Dlatego też wychodząc ze źródeł Objawienia nie powieramy rozwoju ich pojmowania skrzętności czy nawet geniuszowi teologów, ale wszystkim wiernym pod kierownictwem urzędu nauczycielskiego Kościoła. Tak samo rzecz się miała z dogmatem Niepokalanego Pojęcia. U jego podstaw leżało Boże Macierzyństwo Maryi jasno i wyraźnie zaświadczone w Piśmie św. i Tradycji; zbadanie i przeżycie tej prawdy odsłoniło niezwykle przywileje N.M. Panny. I dlatego dogmat ten budził nie tylko zainteresowanie czysto teoretyczne, ale i pełne miłości zaangażowanie się katolików w proces zgłębiania prawdy objawionej o Niepokalanym Pojęciu. Pamiętając, że najczcigodniejszymi przedstawicielami Tradycji są Ojcowie Kościoła, warto zająrzeć do szkoły tego, którego Tixeront w swej „Histoire des dogmes” nazywa najwzajemnym Doktorem Kościoła (11,354) — do św. Augustyna.

Dwie wypowiedzi Augustyna, które — mówiąc ostrożnie — mają pewną łączność z Niepokalanym Pojęciem, wiążą się z jego polemiką antypelagianą. Nim je szczegółowo rozpatrzymy, rzucmy okiem na ich doktrynalne tło, czyli na naukę, jaką Augustyn przeciwstawił Pelagiuszowi. Pelagiusz, ten surowy i dobrych obyczajów mnich brytyjski — jak pisał o nim sam Augustyn — był przedstawicielem naturalizmu. Przyszłym siłom człowiekowi przypisywał zdolność wykonania dobrych uczynków i wypełnienia całego prawa moralnego, zaprzeczając grzechowi pierwotnemu, potrzebie chrztu do zbawienia. Augustyńskie rozważania o problemach podniesionych przez Pelagiusza są oryginalnym pogłębieniem i naświetleniem tradycyjnej nauki Kościoła w tym przedmiocie. W opanczeniu o Pismo św. (Rzym 5, 12; Jan 3,5) i Tradycję (np. Cypriana, Ambrożego, Ireneusza Grzegorza z Nazjanzu, Bazylego, Jana Chryzostoma) Augustyn uznaje grzech pierwotny (kaz. 294) oraz będący jego skutkiem stan fizyczny i moralny ludzkości (ten ostatni punkt stanowi osobisty wkład Augustyna) oraz chrzest dzieci. Biskup Hippono nie wnika w istotę grzechu pierwotnego i widzi ją w zawińonej postawie (reatus concupiscentiae): „O małżeństwo i pożądlivości” 2,28 — 29). Wbrew optymizmowi Pelagiusza — Augustyn twierdzi, że człowiek na skutek grzechu utracił doskonałą wolność, dzięki której mógł unikać zła i pełnić dobro ze zwłoka pomocą Bożą (auxilium sine quo non): „O zasługach grzeszników” II,3). Wobec tego nie ma nikogo poza Panem Jezusem i Jego św. Matką („O zasługach grzeszników” II, 7 8,34; „O naturze i łasce” 42), kto by nie miał na sumieniu przynajmniej grzechu lekkiego. Tak ostatecznie ustaliła się opinia augustyńska (przeciw dwóm listom Pelagiana 4,27). W ten sposób doszliśmy do sedna interesującego nas zagadnienia. Świętość bowiem posiada dwie strony, jedną wyrażającą brak grzechów i drugą — rozkwitającą cnotami, i owocu-

jącą dobrymi uczynkami. Świętość jest w nim bowiem mowa o wysiłku, co zakłada udzielanie Jej „nadmiarowi”. Tak, ale czy bez fałszowania myśli i tekstu Augustyna można jest strona negatywna, tj. wolność od grzechu. Ponieważ rozmaite są grzechy i uczynki: lekkie i ciężkie, i nalogi grzeszne, a w końcu prądrodło tych wszystkich nieprawości — grzech pierwotny, zatem wolno zastanowić się, jak daleko brak grzechu sięga u danego Świętego. Opinia Augustyna pod tym względem jest bardzo surowa, wbrew Pelagiuszowi, który w piśmie O naturze ilustrował swe twierdzenie o przyrodzonej możno-

ści ten powód” (4, 122). Nie wiemy, czy ta odpowiedź zadowoliła oponenta augustynowego, choć Julian umarł dopiero w r. 454. Mielibyśmy może wówczas pewne dane, jak współcześni pomowali to — bądź co bądź niewyraźne, przynajmniej dla nas — zdanie Biskupa z Hippony. Cała trudność polega na tym, jak Augustyn pojmował odrodzenie, o którym mówi. Niebezpieczeństwo tkwi w przenoszeniu późniejszych uściśleń teologicznych na poglądy Augustyna, albo w kierowaniu się z góry powziętymi założeniami. Co prawda, chcąc wyjaśnić tę myśl Augustyna i ocenić jej wartość dla późniejszych dociekań, musimy z dziśniejszych osiągnięć uczytni kryterium aksjologiczne mariologii augustyńskiej w kwestii Niepokalanego Pojęcia. Jest rzeczą oczywistą, że odrodzenie jest skutkiem odkupienia dokonanego przez Chrystusa. Odrodzenie, o którym mowa (podobnie jak jego przy-

czynem — Odkupienie) może oznaczać uwolnienie od grzechu popelnionego lub też zachowanie przed groźącym upadkiem. To kapitalne rozróżnienie umożliwiło pogodzenie Niepokalanego Pojęcia z Odkupieniem i rozwiązało trudności wielu przeciwników tego przywileju maryjnego, podważającego, ich zdaniem, powszechność Odkupienia. Czy u Augustyna znajdujemy pewne przesłanki, z których można wyprowadzić wyżej podaną sławną dystynkcję Szkota? Naturalnie, nie myślimy tu o terminologii, która jest dziełem średniowiecza, ale chodzi nam o rzecz samą. Niestety, całkowitej wyraźnej odpowiedzi na to pytanie dać nie możemy. Jeżeli chodzi o grzech osobisty, to Augustyn zdaje się uznawać uwolnienie od grzechu popelnionego i zachowanie przed niebezpieczeństwem grzechu (Wyjaśnienie Psalmu 85). F. S. Mueller jest nawet zdania, że np. w tymże komentarzu Augustyn podaje zasadę, której zastosowanie do grzechu pierwotnego przygotowuje wyżej wskazane rozróżnienie (Augustinus amicus an adversarius Immaculae Conceptionis, Miscellanea agostiniana, t. II 887). Ten sam autor widzi w omawianym tekście ściśle przeprowadzone rozróżnienie między uwolnieniem a zachowaniem (tamże). Z tego wynika, że prawdopodobnie znajdują się u Augustyna podstawy tej dystynkcji, ale nie mamy pewności, czy Augustyn sam uświadamiał sobie ten problem i sposób jego rozwiązania. To zagadnienie, mimo swego zasadniczego znaczenia, nie wyczerpuje jeszcze problematyki augustyńskiego odrodzenia. Czy jest ono przejściem ze stanu grzechu do stanu łaski? Tak — odpowiadają Saltet i Friedrich, a to dlatego, że dla Augustyna odrodzenie następuje po narodzeniu, a tym bardziej po pojęciu. Operając oną swą opinią na doktrynie Augustyna o odrodzeniu chrześcijańskim przy chrzcie (O zasł. grzeszn. i Przeciw 2-giej odp. Juliana). Ci zaś autorzy, którzy widzą w Augustynie zwolennika Niepokalanego Pojęcia, przeczą analogii między odrodzeniem spowodowanym przez chrzest a łaską, która odrodziła Najświętszą Dziewicę. Augustyn, wedle nich, znał uświęcenia w życiu prenatalnym (np. Jeremiasza i Jana Chrzciela). Odrodzenie w ich przekonaniu nastąpi wówczas, gdy w stanie łaski uświęcającej będzie przywróceniem do życia nadprzyrodzonego. Najświętsza Dziewica w swym proaju Adamie utraciła pierwotną sprawiedliwość „polegając” przede wszystkim na łasce uświęcającej, która była przypadłością natury, a przez łaskę odrodzenia otrzymała z powrotem łaskę uświęcającą, jako łaskę osobistą dzięki zasługom Pana Jezusa. Podobnie badano i augustyński termin „narodzenia”, Friedrich utożsamia „narodzenie” z grzechem pierwotnym (Mariologie des hl. Augustinus, Köln 1907, 211). Mueller uważa „narodzenie” za synonim prawa, obciążającego potomstwo Adama grzechem pierwotnym. Prawu temu powinna być podlegała Maryja, gdyby łaska odrodzenia nie uczyniła z Niej wyjątku (art. cyt. 888). Wreszcie, zastanawiając się nad polemiką Augustyna z Julianem, trzeba stwierdzić, że obrona Augustyna byłaby chybiona, gdyby uznawał on Maryję za poddaną grzechowi pierwotnemu.

Rozmaitość interpretacji augustyńskiej opinii o Niepokalanym Pojęciu dowodzi, że Augustyn nie wyraził jasno swych przekonań pod tym względem. Wszakże możemy w Augustynie uzasadnieniem widzieć w Augustynie jednego z pierwszych, którzy weszli na ścieżkę prowadzącą Kościół do dnia 8.XII. 1854 — dnia ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Pojęcia Najświętszej Maryi Panny.

Ks. Wacław Eborowicz



Perugina — Madonna

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Prośba do Niepokalanej

Pozwól nam chwalić Cię prośbą, zewolń dziewczak radością — w stulecie troski Twojej — w dzień pełen Ciebie jak Kościół.

Przywołaj serc naszych czystość, zachowaj myśli serdeczną, byśmy przez ziemi przejrzystość najgłębszą dojrżeli wieczność.

Pomóż nam zdjąć waży ciężar odebrać śmierć wystraszoną,

aby nie z zabójstw i więzień, nie z krwi rodzici się sławia.

Przykasz nam znieść skarbec pysnych i w ludobójców uderz, lecz dusze ocal wszystkie i wszystkich ucz kochać nas ludzi.

Bliźniemu chleb i powietrze dziecinnemu uprosiś racz świętość, miastem ogrody i przestrzeń przyjrzyj ludzką zwierzętom.

Ma to oczywiście powagę co najmniej argumentów — aurytetów teologicznych. Zupełnie możliwe i poprawne będzie takie pojmowanie rozważanego zdania augustyńskiego: że w głębi do czego należą Panu, dzięki „nadmiarowi łaski” Maryja była wolna nie tylko od grzechów uczynkowych, ale i od ich zarzewia, tj. od grzechu pierwotnego. Nie twierdzi, że takie wyjaśnienie wyklucza przeciwnie, ale możemy, jak się nam zdaje, stwierdzić, że w analizowanym urywku Augustyn sprycja, pośrednio i zawiązkowo (implicit) Niepokalanemu Pojęciu.

Istnieje i inny tekst — nie dość jasny, ale rzucający mimo swej pewnej niejasności dość światła na omawiane zagadnienie. Znowu jesteśmy w pełni gorącej dyskusji z Pelagianami. Zmienili się szermierze. Po polepieniu herezji w r. 418 przez papieża Zozyma, Pelagiusz i Celestus zeszli z widowni, a na ich miejsce zjawia się o wiele bardziej uduolniony Julian, biskup Elkanu (Cayre; Patrologie, t. I, 617). W swej obrótowej polemice z Julian argumentuje złośliwie równajac św. Augustyna z Jowinianem, który przeczył dziecinnemu narodzeniu Pana Jezusa przez Matkę Bożą, poddając ją ogólnoludzki następstwom porodu, czyli utracie fizycznego dziewictwa. „Ty (zaś Augustynie) zapisujesz diabłu Maryję z powodu jej narodzenia”. Cios był ostro wymierzony. Augustyn głosił z uporem powszechność grzechu pierwotnego, a zatem zgodnie z jego nauką, Julian ośmiela się również oddać Maryję we władzę złego ducha. Cóż na to odpowie św. Augustyn? W ostatnim piśmie, które wyszło spod jego pióra, a którego ukończeniu przeskoczyła śmierć, zwanym dziełem nieukończonym „Przeciw drugiej odpowiedzi Juliana, znajdujemy tę oczekiwaną replikę. Nie przypisujemy Maryi szatanowi, z powodu urodzenia, bo łaska odrodzenia zno-

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Wbrew samotności

Pierwotne niebo przyjmuje poselstwo ptaków
plonąc motyle są myślami nieruchomych kwiatów
o złudne piękno pięciu odważnych palców
które nie mogą oddać znaku przymierza światu
zamykają gorycz nieodwzajemnionych uczuć
ręka zwiastuje miłość (a może jest tylko próba
serdeczniejszego tonu z konchy pękniętej muszli?)
słowo dojrzało — owoc, i nie może nie upaść.



tych prekonań byłoby czymś więcej niż nieaktym. Ale...

Moje „ale” prowadzi się do podjeźżenia, że w wielu wystąpieniach pisarskich typu „kolumbowego” obok motorycznej siły określonych przekonań ideowych działają także motoryczna siła kokieteryjnej przekory, chęć epatowania, zwracania na siebie uwagi niezwyczajnością, wyjątkowością zajmowanej pozycji. Wszyscy chwalą sztukę Ygreka? Zachycają się? A może pokazac, że nie mają racji? Wszyscy psioczą na film Zeta? A jakby tak napisać, że jest na przykład zwycięskim banałem?

OPERA OMNIA TWÓRCZEJ PROWOKATORA

PAŃSTWOWY Instytut Wydawniczy ofiarował nam wreszcie zbiorowe wydanie pism Tadeusza Borowskiego. Wydanie to obejmuje w pięciu to-

mach całość dorobku zmarłego tragicznie przed trzema laty pisarza. To całociowe podsumowanie dorobku, poprzedzone gruntownym studium wstępnym Wiktora Woroszyńskiego, ukazuje nam postać autora „Imion nurtu”, „Pożegnania z Marią” i „Małej kroniki” w pełnym świetle, zmusza do syntetycznego ujęcia cech jego pisarstwa, zobowiązuje do maksymalnie całościowego potraktowania zsumowanego pośmiertnie dorobku.

Dorobek ten — znany nam zresztą prawie w całości z uprzednich publikacji — jest bardzo różnorodny gatunkowo, obejmuje wiele sfer pisarskiego działania. W poezji — od refleksyjnej, chciałoby się rzec: kastroficznej liryki tomu „Gdziekolwiek jest ziemia”, poprzez osobistospomnieniową lirykę „Arkusza poetyckiego” oraz „Imion nurtu”, aż po reportaż poetycki „Koniec wojny” i fraszki polityczne w typie „Czytanie dla Amerykanów”. W prozie artystycznej — od wspomnieniowych opowiadań obozowych, jak zebrane w tomie „Pożegnania z Marią”, poprzez arcylieracki w swej persyfikacji koncepcji „Kamienne światło” i beletryzujące publicystykę „Opowiadania z ksiązek i gazet”, aż po ambitne w satyrycznym nowatorstwie szkice, jak „Kłopoty pani Doroty” i „Czerwony maj”. W publicystyce wreszcie — od felietonowych artykułów „Małej kroniki”, poprzez polemiczne utarczki i drobne reportaże, aż po zasadnicze, wielkoprotymowe artykuły i broszury polityczne (np. „Do agitatorów pokój”).

Prawie każdą z tych prac — czy to poetycką, czy prozatorską, czy przed wszystkim publicystyczną — pamiętamy dobrze w jej „otoczce sytuacyjnej”. To znaczy w tzw. kontekście wydarzeń. Prawie każda z tych prac (może poza mniej głośnymi pracami poetyckimi) stanowiła akcent żywy i twórczy w każdorazowym układzie życia literackiego i może nawet nie tylko literackiego. Po prostu: Tadeusz Borowski czy to artykułem, felietonem lub notką polemyczną, czy opowiadaniem lub zbeletryzowanym reportażem trafiał prawie zawsze w istotne zawężenia problematyki, w punkty najbardziej wyczułone publicystycznie, chciałoby się powiedzieć: najbardziej unerwione. Był wszędzie tam, gdzie należało szarpać, uderzyć ręką w stół, powiedzieć słowo głośne, niekoniecznie grzeczne, ale zawsze prowadzące do ożywienia cyrkulacji myśli, do przemyslenia na nowo spraw pozornie dawno i w sposób niby ostateczny przemysłanych.

Należał do ludzi obdarzonych zdolnością twórczej prowokacji. Zgodźmy się z tym, że istnieje coś takiego, jak talent mądrego denergowania zastalych opinii publicznej. Talent ten polega na dostrzeżeniu i atakowaniu śmiałą myślą tych problemów, które — jako drażliwe, dwuznaczne lub po prostu trudne do wyjaśnienia — otoczono konwencjonalną zmnową przemiłością lub ogólnikowych pokwitowań. Przechodzi się obok nich na paluszkach, przyrmrużając porozumiewawczo oko: „ostrożnie, z tym jeszcze nie wiadomo co i jak, lepiej ominąć, bo wybuchnie”. Pisarze, którzy nie boją się takich wybuchów zdobywają szybciej nasze uznanie, zasługują na miano pierwszoliniowców, spełniających twórczą funkcję określonych każdorazową sytuacją kolumbów. Choć nie było za dużo tych twórczych prowokatorów, chociaż przeważali i przeważają spokojni, ostrożnie zrównoważeni i raczej zimni niż gorący, a najchętniej letni działacze pióra — grupa pionierów (czy może minierów, rozkładających niebezpieczeństwo zamkniętych milczeniem pół) ma u nas swoją miejscami nawet bardzo ciekawą historię.

Odrębne miejsce w tej historii należy zarezerwować dla Borowskiego. Każdy z działaczy tego typu (oczywiście każdy w różnym stopniu, z różną precyzją, ba nawet w opancu o różne przesłanki wyściowe) dawał świadectwo swoim (i nie tylko swoim) przekonaniom ideowym, walczył o te przekonania. Powątpiewać w siłę motoryczną

O książce Iksa krąży fama, że dostanie nagrodę? Czy nie warto podnieść się z niej dowiecym felietonem? Jednym słowem: na opak, odwrotnie, żeby inaczej, żeby ciekawiej. Intelekt dopisze, pióro też. I funkcja społeczna się znajdzie; ożywienie dyskusyjne. Więc?...

Oczywiście, zaostrem karykaturnalnie sytuacji. Lecz niech to posłuży wyrażeniu myśli. Obarcza ona każde „enfant terrible” w różnym stopniu, ale żadne chyba nie jest zdolne całkowicie od niej się uwolnić. Wrażeniu miłego zaskoczenia, twórczego zdziwienia, z jakim czytamy piasek tego czy innego kolumba, towarzyszy podskórny szmer niepokoju: czy znowu przyszedł w sypialni na dancin? albo z balkonikiem i tubką confetti na akademie żalobną? Nie każdy z nich demonstruje swoją odrębność w sposób równie jaskrawy czy — delikatniej mówiąc — również zdecydowany. Ale w zetknięciu z nimi zawsze odczuwamy coś z demonstrowania odrębności.

W zetknięciu z Tadeuszem Borowskim jako pisarzem odczuwamy odrębność jego indywidualności, ale bez smaku demonstracji. Autor „Pożegnania z Marią” był kimś bardziej serio, jego pasja dekonspiracji przemierzanych fałszów, jego ambicja burzenia zastalych opinii publicznej miała w sobie poważniejszy, rzetelniej traktowany ładunek ideologiczny. W jednym ze swoich wierszy (T. I, str. 194, bez tytułu) powie: „Poezja sprawa jest zbyt święta, by była widowiskiem innym”. Powiedzione to może zbyt patetycznie, ale u Borowskiego prawdziwie brzmi nawet w uogólnieniu na inne gatunki działania pisarskiego. Zresztą — o czym za chwilę — ta granica między gatunkami nie przedstawia się w „Utworach zebranych” zbyt jasno. W tej chwili waje jest, że zarówno poezja, publicystyka, jak i proza artystyczna była dla Borowskiego — mówiąc językiem jego młodzieńczego wiersza — „sprawą zbyt świętą”, aby traktować ją widowskim, kokieteryjnie, z przekorną potrzebą zaskakiwania wymyślnymi niespodziankami. Nie ma tu nic z epatowania dla epatowania, z błyskotliwości dla błyskotliwości — wszystkie służy celowi ideowemu. Ta kondensata, to bezkokietyjnie zdobywane dla siebie uwagi i rzetelnego zainteresowania — czynniki z Tadeusza Borowskiego coś więcej niż prowokacyjnie śmiały indywidualizm, coś więcej niż zdobywczo niegrzeczne „enfant terrible” — czyni z niego bojownika.

PONAD GRANICAMI GATUNKÓW

Redaktorzy zbiorowego wydania pism Tadeusza Borowskiego w trosce o jak najdoskonalszy kształt edytorski jego spuścizny dokonali wyraźnego podziału na prace poetyckie, publicystyczne i nowelisticzne czy ogólniej mówiąc: artystyczno-prozatorskie.

Edytorska zasada takiego podziału jest chyba słuszna. Jakiś ogólny, siarkowaty, ale wyrażający klasyfikację ona porządkowanie parcie materiału, wprowadzające w jego bogactwo pewien porządek. Niech nie będzie jednak zbyt zaciętym twierdzeniem, że porządek ten jest trochę arbitralny. W istocie bowiem, zdomoni tym nie chodzi o dezawuowanie przemysłu edytorskiego ani o krytykę zasady edytorskiego podziału. Powróźmy jeszcze raz: edytorski podział taki jest chyba słuszny. Pamiętaj jednak, że nie chodzi o siłę i siłę paczną biurokracji, a zwłaszcza o jedynowładny paktarstwo Tadeusza Borowskiego dokonujące takiego podziału było bardzo niebezpieczne i skazywało na nieuniknione choć bolesne uszczyplenie — nie tylko nam podziału zaproszonego przez redaktorów „Utworów zebranych” traktować inaczej niż edytorskie miałum necessarium.

Ktoś inny mógłby zastosować inną zasadę: zasadę płynności chronologicznej, porządek czasowego następowania utworów. I... też miałby swoją rację i to nie małą. Przepiałaby się wtedy wiersze z opowiadaniem opowiadania z felietonem, felieton z powinną zasadniczo dysertacją. Użyłbymy jak w filmie drogę młodego bojownika, który — zmieniając orsz, taktykę, nawet rodzaj broni — był wieny swojemu popołaniu, był ciągle ten sam, pisal ciągle te same poematy — jak kto chce — jedno opowiadanie, może tak — jeden pióromenny artykuł.

Ale nie zatrzymujmy się przy pomysłach edytorskich. Nie o edytorskie dwagacje tu chodzi. Chodzi o stwierdzenie bardzo istotnego faktu, że w twórczości Tadeusza Borowskiego — tak wyraźnie, jak niemal w żadnej innej — zacierała się różnica między poezją, publicystyką i artystyczną prozą. Nie ma w tym twierdzeniu — jeśli się je

właściwie zrozumie — nic z dyskrydytowania jednego gatunku przez porównanie go z drugim. Przeciwnie; twierdzenie to chce zaakcentować jak najmocniej wysokie zaangażowanie ideowe, wysokie ambicje artystyczne każdego z gatunków, chce przede wszystkim podkreślić jednorodność bogatej w formach twórczości Tadeusza Borowskiego.

Naucono nas w szkole młóstwa mądrosi, które buntują się przeciwko zacięciu granic między gatunkami. Naucono nas w szkole, że dajmy na to odąd aż do dnod to poezja, dalej już proza artystyczna, która kończy się tam, gdzie zaczyna się publicystyka itd. I, w seminariach uniwersyteckich magowie tajemnej wiedzy poetyckiej poprzez specjalne misteria jak wykłady, ćwiczenia, kolokwia i egzaminy pogębili w nas kuli świata usystematyzowanego podziałką ustalonych pojęć Gorliwsi z nas sklonni są po dziś dzień spowiadać się z grzechu myśli nieczystej o nielegalnych związkach gatunków. Obraz publiczystyki trójkrajowej z poezją wydaje im się nieprzyzwoły, przypuszczenie o zamiowej miłości wzajemnej tych gatunków uznają za anomalie, proza artystyczna spiewana w jedno z publicystyką nazi ich jak konkuwabat. I gdy usłyszą o poezji posiadającej wybitne walory publicystyczne dzwija się tak, jakby usłyszeli o dziewczycy, która ma bardzo zdolne dzieci.

Te polonistyczna prudencja ma jedną cechę dodatnią: że z biegiem lat — pozostawiając po sobie umiejtność cierpliwego obcowania z literaturą lub nawet miłości do literatury — uwalnia się całkowicie jak niepożądana przyswoltka. Dopiero wtedy można mówić swobodnie o ziołowym, bozowym i zupełnie normalnym współżyciu gatunków.

Wiemy, że próbowano ustalić (mądrzejsze od seminaryjnych) podziały między gatunkami: poezję jako trybit wyodrębniający, przynajmniej prymat obrazu, prozę artystyczną od poezji publicystycznej proponowano odróżniać po stopniu nasycenia walorami estetycznymi, takimi jak kadencja zdań, plastyka opisów, przeważa treści emocjonalnych nad intelektualnymi itp. To znaczy, że niby tych walorów nie musi posiadać publicystyka, a powinna posiadać proza artystyczna.

Tadeusz Borowski był jakoś na bakier z tymi regułami. Język artykułu publicystycznego pobrzmięwa u niego bardzo często wyraźnie muzycznym metrum, metafóra wybuch obok metafory, strzeliste lub ironiczne apostrofy nie wyszły z jego literackości. I na odwrót: w noweli czy opowiadaniu wyraźnie

Pierwsza to przeżywanie wojny, surowy i bolesny rozrachunek z dziedzictwem potwornej dehumanizacji spraw ludzkich, przyniesionej przez „czasy pogardy”, ostrza analiza przyczyn zarażenia zbrodnią i nienawiścią, zdecydowana kampania przeciwko wszelkim formom uniku moralnego, przeciwko strusiemu mitologizowaniu wydarzeń noicy okupacyjnej.

W ramach tej wielkiej „akcji”, charakteryzującej początkowy okres rozwoju literatury Polski Ludowej, Tadeusz Borowski dokonał najodważniejszej chyba, najbezwzględniejszej w środkach i bodajże najwyraźniejszej w skutkach analizy wojennej zbrodni wobec człowieka dokonanej przez człowieka. Nie pozostał na ogólnym poziomie, na moralnej ocenie tragicznego zjawiska, lecz pokusił się o ocenę klasową, o socjologiczny, społeczno-polityczny wykładnik dewaluacji człowieka. Jego oskarżenie i analiza wszelkich stadiów faszystizmu były najbardziej chyba wazkim wkładem w poznawcze zdobycze literatury przewycięzającej wojnę.

Druga wielka „akcja” pisarza Borowskiego to tropienie i demaskowanie kontrewolucji, walka z wszelkimi odmianami wroga wewnętrznego, wywiadowca służba patrolowa, mająca na celu ochranianie przedpola wielkiej bitwy o zmianę ustroju i człowieka, mająca na celu dekonspirowanie wszystkich kryptoreakcyjności wszystkich przycających wokół obozu rewolucji i w samym obozie rewolucji rodzajów oportunistów, przeczekiwalstwa, byczojestestwa.

W ramach tej „akcji” wkład Borowskiego znnowu poważnie zaważył na ogólnym rozwoju sytuacji w literaturze. Borowski wystrzał kwestie ideologiczne, dynamizował je i uatrakcyjniał właściwościami swego talentu, pasji i wnikliwej myśli. Był galwanizatorem, reżyserem wielu gwałtownych krótkich spieć i oczyszczających atmosferę rozładowań, stanowił czuły mano-

Obok „Kłopoty pani Doroty” jest „Ofensywa styczniowa” lub „Lokomotywa”. Obok „Małej kroniki” czy „Kamienne światło” są mowy, w których zamiast ataku i drwiny Borowski podejmie trud sformułowań pozytywnych: „Do młodych agitatorów pokój”. „Do pisarzy niemieckich”. Przywraca to częściowo zachwiała w jego dziele równowagę, chociaż nie zmienia zasadniczo profilu Borowskiego.

Śledząc jego dwie wielkie „akcje” i przypisując im ważką rolę w pierwszym pięcioleciu naszej powojennej rzeczywistości literackiej musimy także dostrzegać w nich pewne przerosły, które byłyby niebezpieczniejsze, gdyby ich nie uzasadniała i nie sublimowała żarliwość ideowa Tadeusza Borowskiego.

Przewycięzając wojnę, walcząc z zarażeniem śmiercią i nienawiścią, pisarz sam ulegał pewnemu psychologicznemu zbrutalizowaniu, które wyrażało się zewnętrznie w nieczwaste ujarzmionych ciągach ku naturalizmowi, ku rozbewstwienu opisu do granic ponurego behawioryzmu. Wtemy, że Borowski ulegał tu wpływom literatury amerykańskiej, że pewne przejawskrawienie jego relacji pisarskiej wynikało także z zapatrzenia się na Hemingwaya czy Steinbecka lub Caldwell. Ale było w tym także coś z mściwości wobec samego siebie, z przesadzonej pasji pogonebniei wszelkich złudzeń. Było także coś z obsesji, coś z cierpienia, które pisarz chciał przewycięzyć spogotowaniem bólu do maksimum. Ostateczny sens tych zmagaj ukazał jednak Borowskiego jako pisarza podporządkowującego się nadrzędnej idei humanistycznej walki o człowieka. Nad jego dziełem można był wypisać motto „Medalionów” Zofii Nałkowskiej: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. A dziełu — co niech będzie wyrazem najwyższej chyba pochwały — przynać prawo znalezienia się — mimo zrozumia-

ścię owo do społecznej ewokacyjności tych utworów. Ciężki to termin, pachnie na kilometr Irzykowskim. Spieszę więc z wyjaśnieniem: opowiadania, o których mowa, były czymś w rodzaju literackiego szoku, ewokowały wśród odbiorców bądź sprzeciwu, bądź zdziwienie pomieszane z niesmakiem, ale zawsze prowokowały do nowego spójżenia na sprawy, wokół których wytwarzać się już počęła konwencja wyłącznie martyrologicznego wspomnieniowa, konwencja zrozumiałego, lecz nie funkcjonującego przecież w kategoriach poznawczych patosu.

Borowski kazał swoim czytelnikom spojrzeć na znieczłowieczenie wojenne w sposób nowy, w sposób odkrywczy poznawczo. Punkt widzenia, który potrafił narzucić swoim odbiorcom nazwałbym goryczą współtyny. Borowski zarażał poczuciem współodpowiedzialności za wszystko, co się stało. Nie zawahał się przed ryzykownym chwyttem literackim, polegającym na oczernianiu narratora. Słuchając narratora w „Dniu na Harmenach” czy w „Proszę państwa do gazu” lub w „Ludzie szli”, narratora — „prominenta” podmiewiającego się z „mużulanów” lub poronnie beznamiętne opowiadającego o tym, że między jednym a drugim kornerem meczu, w którym on brał udział, zagawozano tysiące ludzi — wchodził niejako w środek tragedii zobojętnienia, w centrum problemu współodpowiedzialności.

Wspomiane uprzednio przejawskrawienia behawiorystyczne czy naturalistyczne równowazone są klasowymi uogólnieniami i wyprowadzaniem z samooskarżeń — zasadniczego wyroku na faszystów, który zarażał wojną, jej okrucieństwami, zarażał nieludzkością. Siła tego wyroku jest siłą opowiadań Tadeusza Borowskiego. Dlatego ich rola wydaje się pierwszoplanowa.

Więcej: zaryzykowałbym (przynajmniej uodrodną) nieczym więcej niż domyśłem) hipotezę, że te opowiadania, że zainicjowany nimi kierunek i styl wystapien inspirowały, jeśli wręcz nie determinowały późniejszej pracy publicystycznej Tadeusza Borowskiego. Pasowały go zewnętrznie i zobowiązały wewnętrznie do roli bojownika o pełne poczucie odpowiedzialności za losy świata i rewolucji.

Wiemy, że to poczucie starają się kształcić wszystkie jego artykuły. Ceniemy ich żarliwie, podziwiliśmy niejednokrotnie ich siłę ideową, precyzję i ostrość sformułowań, urok słowa przypominający Erenburga w jego publicystycznych wystąpieniach. Czytając wszakże w całości te prace musimy zwrócić uwagę, że ich rola polegała na umocnieniu przekonań ideowych wśród tych, którzy dzielili je z autorem. Borowski działał i działał twórczo na przekonanych. Rezygnował z przekonywania, poprzestając na zwalczeniu przekonań wrogich, czy fałszywych. Sprawa jest cienka, trzeba ją ująć trochę subtelnie.

Tok myślenia w publicystycznej argumentacji Tadeusza Borowskiego zakładał zgodność założeń ideowych między nim a odbiorcą. W opancu o tę zgodność założeń Borowski bogozął ilość argumentów służących pro lub contra. Jego funkcja jako publicysty była funkcją twórczego apołogety, twórczego dekonspiratora, ale nie była funkcją apostoła wśród nieprzekonanych. Borowski w swoich pracach publicystycznych rezygnował z myślenia dyskursywnego, nie uwzględnił — nawet dla celów polemicznych — założeń przeciwnika. Zwalczal go nie przez wykazanie mu jego błędu, nieprawdy, lecz przez wykazywanie słuszności swojej prawdy, swojej postawy. Stąd: drwina — często zwycięzca — zamiast kontrargumentacji, ironia — często zabójca — zamiast logicznego wywodu, oburzenie i pełen patosu wyrok — często nieodwracalnie słuszny — zamiast wymiany poglądów.

Wzmagało to wewnętrzną siłę publicystyki Borowskiego, czyniło ją twórczą wśród tych, którzy aprobowali jej punkty wyjściowe, ale ograniczało jej działanie tam, gdzie nie było zgody na same założenia. Borowski nie chciał widocznie osłabiać siły swojego działania rozpraszaniem jej na nieprzekonanych. Zamiast ich przekonywać, gromił. Nie rozstrzygamy: dobrze to czy źle. Stwierdzmy jedynie, że tak działać postanowił, a przynajmniej obiektywnie działał.

Siła jego opowiadań i jego publicystyki przysłużyła twórczości formalnie poetycką. Chyba z biegiem czasu słabła miłość Borowskiego ku własnym wierszom. Były one początkiem, były wspomnieniem pierwszych bezpośrednich kontaktów z literaturą, potem od czasu do czasu stawały się interludiami, aby coraz częściej ustępować miejsca pasji, nakazującej nawet formalnie publicystyczne ich traktowanie. Wystarczy karkując pierwszy tom „Utworów zebranych” — przesiedzić drogę do wierszy z cyklu „Gdziekolwiek jest ziemia” oraz „Imion nurtu” ku takim utworom, jak „Koniec wojny” lub „Czytanie dla Amerykanów”, by zauważyć, że strona coraz rzadziej staje się naszym pierwszym napojem, coraz częściej mieszając w sobie ocean satyryczny. Po prostu: Borowski wiedział, że poeta można być i poza wierszami.

I był. I pozostanie. Tak jak pozostanie jednym z najodważniejszych pisarzy i jednym z najjarzniejszych publicystów pierwszych lat rozwoju życia Polski Ludowej.

(Dokończenie na str. 6 i 7).

ZYGMUNT LICHNIAK

OBRACHKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (48)

PROFIL BOJOWNIKA (rzec o Tadeuszu Borowskim)

nad treściami emocjonalnymi, nad usystematyzowaniem wzajemnych elementów obrazu bierze górę publicystyczna, pełna pasji leża intelektualna. W wierszu — który nie przestaje być poezją i to dobrą poezją — zamiast obrazu często panoszy się niby samowolnie pozorne naga, a w istocie wyposażona w bogactwo wielkiego wzruszenia myśl.

Tak jest z każdą prawie pozycją, w każdym bądź razie z ogromną ilością pozycji zawartych w pięciu tomach „Utworów zebranych”. Godzi się to wyraźnie powiedzieć. Nie po to, aby snuć seminaryjno - polonistyczne dwagacje o relatywnie teoretycznych kanonów literackich, które (szukaliśmy datkiem od doskonałości) są — niestety — czasami konieczne i przydatne. Godzi się o jednorodności bogatego w formach pisarskich działania autora „Imion nurtu” mówić po to, aby nikt o niej nie zapomnił, wdając się w analizy bardziej szczegółowe. No, a przy okazji, by nie zapomnieć o niej także czytelnicy tego szkicu, który będzie musiał posługiwać się dla wygody terminami umownymi, chociaż wyraźnie na jego marginesie wypisane jest *totum necesse* wobec ich merytorycznego sensu.

Tam, gdzie całość twórczości stapia się w jeden amalgamat wielkiej pasji ideowej, wielkiego talentu i wielkiej ambicji oddziaływania społecznego to, co nazywamy publicystyką, jest chwila poezja; to, co określamy jako poezję, jest i publicystyką; reportaż przekształca się w nowelę; nowela staje się poważnym atakiem publicystycznym. Skoro musimy operować tylko umownymi znaczeniami tych słów, trudno! Ale obowiązuje nas pamięć o sztywności tej konwencji. Niechaj ta pamięć będzie podktywana przez lekturę „Utworów” Borowskiego buntem wobec konwencji, upraszczających rozumienie literatury. On w tych konwencjach się nie mieścił.

PISARZ PRZECIWIU

O BEJMIAJAC jednym spojrzaniem całość dorobku Tadeusza Borowskiego zaryzykować można po dłuższym namyśle wskazanie dwóch zasadniczych spraw, dwóch wielkich akcji pisarskich, których autor „Pożegnania z Marią” i „Kłopotów pani Doroty” poświęcił swój talent i siły twórcze.

Oczywiście, ta dwutorowość jest tylko uogólnieniem wielu dróg działania pisarskiego. Można by pomniejszych „akcji” wliczyć bardzo dużo. Każda z nich podporządkowuje się jednak którejś z tych dwóch naczelnych pasji.

meir ciśnienia ideowego, sygnalizował spadki temperatury, podniecał ją nieraz do punktu wrzenia, jednym słowem: był zwiadowcą rewolucji, żarliwym bojownikiem z siłami kontry, tym, który toruje drogę, ustalającym nowy ład.

I w tych dwóch wielkich „akcjach” najogólniej zamyka się ideowy sens i zawartość jego bogatej twórczości.

Przy jam najpełniejszym szacunku dla bogactwa tej twórczości nie sposób nie zwrócić uwagi na pewną jej jednorodność. Przynajmniej na pierwszy rzut oka wygląda to tak: Borowski był przede wszystkim polemista, pisarzem negatywnym, bojownikiem na „nie”. W jego różnorodnych wystąpieniach łatwość uchwycić z czym walczy, przeciwko czemu uderza, niż o co walczy, za czym przemawia. W jego pismach więcej jest protestu i drwiny, więcej oburzenia i żalu, więcej rejestru przestępstw i katalogu wad niż postulatów i afirmacji, niż radości z osiągnięć i postępu rewolucji, niż wyroku pozytywnego i sumowania zwycięstw.

Oczywiście, wynika to w dużej mierze z jego temperamentu pirackiego, temperamentu twórczego prowokatora i z sytuacji ogólnej, która go warunkowała, sytuacji dyktującej wówczas przede wszystkim goryczkowane chwilałi mentorstwa. Jednak — zdając sobie sprawę z tych indywidualnych i historycznych uwarunkowań — nie należy nimi całkowicie bez reszty wyjaśniać tej odczuwalnej jednorodności. Mimo wszystko pozostać chyba faktem, że konstruktowność działania pisarskiego autora „Małej kroniki” ujawnia się przede wszystkim *per negatiuem*, przez zdolność walki z błędami. Borowski mniej precyzyjnie jawi się jako współtwórca programu, natomiast wyraziście jako pogromca antyrewolucyjnej herezji.

Inna sprawa, że nie trzeba specjalnej wnikliwości i wysiłku, aby poprzez to, z czym Borowski walczył, przeciwko czemu występował, dojść drogą niezbyt pośrednią — ale też i nie bezpośrednią — do tego, o co walczył, za czym występował w swoich twórczych pracach.

Inna także sprawa, że z biegiem czasu zmienia się w jego twórczości układ akcentów polemicznych i tych, które można by nazwać afirmacyjnymi. Obok ostrych pamfletów polemicznych, obok brutalnych obrazów znieczłowiezonego wojną człowieka, obok rejestru wrogów i kryptoreakcjonistów pojawiają się w jego pismach nowi ludzie, ludzie zwycięscy, odrodzeni w rewolucji. Obok „Pożegnania z Marią” pojawia się „Muzyka w Herzenburgu”.

tych różnic kunsztu pisarskiego — obok „Medalionów”.

I w drugiej swojej „akcji”, w tępieniu i demaskowaniu kontry Borowski otarł się o poważne niebezpieczeństwo przejawskrawienia. Zbyt ostro, zbyt pośpieszenie uogólniał sądy o wrogu, który nie zawsze okazywał się wrogiem. Czasami walczył ze złem w człowieku, walczył z człowiekiem. Ponośła go fala oburzenia tak wysoko, że zakrywała horyzont jedności narodowej ludzi rozmaitych przekonań. Tłumaczy to się klimatem ostrej walki, w której Borowski był zaangażowany bez reszty. Dził jest już nie tyle zarzutem, ile jeshcze jednym określeniem jego silnego związku z ideą, której do końca swoich dni służył.

ARSENAL BOJOWNIKA

W służbie tej Tadeusz Borowski sięgał — jak powszechnie wiadomo — po różnorodkie środki działania. Dla mnie w jego dziele granice między odmiennością tych różnorodnych sposobów działania są płynne. Tak dalece płynne, że — przypominając to, co już powiedziałem wcześniej na ten temat — zaryzykowałbym twierdzenie, że Borowski jako poeta najmocniejszy jest nie w swoich wierszach, Borowski jako publicysta często największy sukces osiąga w swoich opowiadaniach, a Borowski — prozaik, nowelista czy nawet eseista potrafi być jednocześnie i publicystą, i poetą.

Te upłynięcia podziałów międzygatunkowych, prowadzące do sformułowanego już wniosku, że twórczość Borowskiego jest — jak mało która — zjawiskiem jednorodnym, nie powinny zacięrać ogólnego wrażenia, ogólnej odpowiedzi na pytanie: co najbardziej zdobywa czytelnika? co z rzeczy Borowskiego utrwała się w nas jako najwyrazistsze, najbardziej Tadeuszowe?

Według mnie: oczywiście — opowiadania. I to właśnie opowiadania obozowe. Być może, iż wrażenie to uzasadnia się w jakiejś mierze chronologiczną pierwszocją tego wystąpienia Borowskiego. Akurat opowiadania oświęcimskie były w Polsce kolportowane książkowo najwcześniej i najszerzej. Ale nie sądzę, żeby tylko tym tłumaczył się ich trwały zapis w pamięci. Przecież powielczowy tomik „Gdziekolwiek jest ziemia” czytaliśmy jeszcze przed powrotem Borowskiego do kraju. Nawet „Imiona nurtu” szybko dotarły do nas z Monachium, niż poeta.

Pierwszoplanowość opowiadań obozowych w twórczości Tadeusza Borowskiego ma znacznie głębsze uzasadnienie. Sądze, że sprowadza

Śmierć Czałda Harolda

„Za kilka godzin różane zorze
Promieniami błysnie jasnymi,
Obaczę niebo, obaczę morze,
Lecz nie obaczę mej ziemi...”

WIATR kręcił
kłębamit rdza-
wego kurzu w
miejscu, gdzie
rosła cemen-
townia. Gdy
przycichał,
wzgórza zielone
płynęły spoj-
kownie, het, het,
aż po granicę
widnokręgu.

Siedzący w drzwiach wartownik
cmil papierosa patrząc sennie na
codzienną roboczą krzątaninę. Mę-
czyła go zgasła po wczorajszych
chrcinach, w głowie hucały i po-
stękiwały ciężko trzy zawzię-
tych buldożerów, kłapiąc oblesni-
m paszczami. W chwilach ciszy siedo-
zący w drzwiach człowiek wdrygał
się nagle na odgłos nerwowych kro-
ków surzujących tam i z powrotem
po wartowni. To pierwszy sekretarz
tłukił się jak Marek po piekło, jakby
nigdy przedtem nie czekał na przy-
jazd jakiegoś tam pisarzczyka z War-
szawy. A przecie od dwóch lat, jak
tylko zaczęli budować, nie było
dnia, żeby się nie kręcił wte i wew-
te, nie szperał i nie niuchał po te-
renie facet w bereciku, z grubym
notesem, amerykańskim ołówkiem
i aparatem dyndającym przy zadku.
Prawie każdy z fają w zebach...
Buldożery znów zmilkły. Nawet z
filmu przyjeżdżali... Wartownik
drgnął i rzucił desperacko przez ra-
mie:

— Towarzyszu Sawicki, przecie szkoda nog!

Ciarki mu przeszły po plecach,
błysząc, jak ten zbliża się korytar-
zem. Nieufnie zerknął na ciężką
dłoń, opartą na swoim ramieniu.

— A ty, Wicek nie zalewaj się
dzień w dzień.

Wartownik splunął papierosem,
wstał i obciągnął mundur.

— Chrciny to chrciny, towarzy-
szu sekretarzu — powiedział mru-
żąc oczy.

Sawicki szedł już w głąb war-
towni.

— Uważaj, żebym cię nie prze-
chrcił!

Wicek wzruszył ramionami i
mrugnął pod nosem: „A rób se, cho-
lero, co chcesz”. Z rękami w kie-
szeniach obrócił się twarzą ku bu-
dowie, zgarbiony i nadęty, jakby
wolał w stronę trzech par buldo-
żerów: „Stulcież mordu...ssynny!”

A Sawicki znów chodził po war-
towni tam i z powrotem, tam i z po-
wrotem. Chwilami przystawał pod
okienkiem, rzucał szybkie spojrzenie
na przecięte kratą sosny i szosę
wpadającą w las. Miał dosyć tych
wszystkich puców, tego lakierowa-
nia spraw szorstkich, trudnych i
chropawych, nawet tak na pozór
nieistotnych, jak Wickowe przymie-
rze z ćwiartuchną. Gdyby choć sam
umiał pisać. Powiedzieć ludziom —

tam, wszędzie w całym zapracowa-
nym kraju, ba, poza krajem, powie-
dzieć towarzyszom, powiedzieć i
wrom, pokazać wszystkim — co
to jest budowa. Co to jest człowiek
na budowie. Co to jest przegrana,
co to jest zwycięstwo, co to jest —
chołerne zmęczenie. Ale wiedział po
setkach prób, po wielu nieprzespa-
nych nocach, których mu żona do-
tąd nie mogła darować, że on, pier-
wszy sekretarz, Sawicki, prędzej
potrafi wygrać tę kratę z okna,
wyrwać ten cały las z korzeniami
— niż pokazać wszystkim, co to
jest — budowa. Przystanął i przy-
brudzoną chustką ocierał pot z czo-
ła. Przez uchylone drzwi widział,
jak Wicek drzemie w progu. Mu-
chy gziły mu się na nosie. Sawicki
z zaciśniętymi pięściami ruszył
w stronę drzwi, nagle zawahał się
i przystanął. Zupnie jak wtedy,

gdy chciał dać po pysku temu dzien-
nikarzynie z Lublina. Pamiętał do-
brze jego młodą, utuczoną twarz
i słowa: „Towarzyszu, tak nie moż-
na, tego cenzura nie puści!” A on,
idiota, powiedział przedtem temu
pęłaczynie wszystko, wszystko, co
nosił w sercu. Jeszcze dziś aż pie-
kło go z żalu, że umiał się wtedy
opanować, że zamiast lunąć tamte-
go w gębę, żeby się nakrył nogami,
przystanął nagle i powiedział tyl-
ko, ściskając pięści do bólu: „Cen-
zura jest w was, rozumiecie, w wa-
szym sumieniu!”

Za okienkiem szosa była ciągle
pusta, jakby nigdy się na niej nie
miał pokazać prasowy samochód z
Warszawy. Po obu jej stronach
pełżyły tylko żłobione w piachu ko-
leiny — ślad po wozach, które ran-
kiem ciągnęły tędy z nowym trans-
portem cegieł, rur i wapna na bu-
dowę. Sawicki odwrócił się od okna
i oparł plecami o ścianę. Dopiero
teraz poczył, że kosztuje ma mokró
od potu. Upstrzony przez muchy
budzik na stole wskazywał godzinę
dwunastą. Ebonit telefonu przecięła
smuga słońca wpadając chylikiem
przez uchylone drzwi. Ostatecznie,
był gdzieś przecież, u licha, czło-
wiek! Człowiek, który nie będzie się
bał, jak ten spasiony szczeniak z
Lublina. Człowiek, który zaufa je-
mu, pierwszemu sekretarzowi. Czło-
wiek, który nigdy nie napisze, że
„ogorzały od słońca, rosły i bar-
czysty, majster Świętnicki, od świtu
do nocy uwija się na budowie,
krzepką ręką dzierżąc brygadę, w
poczuciu, że z każdą położoną ce-
głą utrwala się i rośnie socjalizm
w naszej ludowej ojczyźnie”. Nie
napisze, bo Świętnicki wcale nie
jest ogorzały i barczysty, bo Świę-
tnicki nigdy nie zatrzyma się na bu-
dowie poza przepisany czas, choć
by nawet — jak przed dwoma ty-
godniami — runęła źle zaprojekto-
wana ściana, bo Świętnicki patrzy
przede wszystkim, ile mu przynie-
sie każda położona cegła, żeby mógł
wreszcie postawić sobie dom na
własnej parceli. Szczeniak o tym
wszystkim wiedział, szczeniak wie-
dział coś więcej — że on, Sawicki,
pierwszy sekretarz, celowo powie-
rzył Świętnickiemu najtrudniejszy
odcinek nie tylko dlatego, że Świę-
tnicki jest nie lada fachowcem, ale
przede wszystkim dlatego, żeby po-
móc Świętnickiemu zrozumieć — co
to jest budowa. Co to są — ludzie
na budowie. Żeby mu pomóc zroz-
umieć, co jest — socjalizm. I kto wie
może, może, za rok, dwa Świętnicki
nie tylko po to będzie zrywał ludo-
dzi do współzawodnictwa, żeby wy-
konaczyć swój dom na parceli? Szcze-
niak wiedział to wszystko, wiedział
od Sawickiego. Pierwszy sekretarz
do dziś w szufladzie, której nie
otwiera, chowa obok pasiaka z ob-
ozu — ten numer gazety lubelskiej,
gdzie się ukazał reportaż o Świę-
tnickim.

Buldożery na budowie czknęły na-
głe, a w ich cichnące posapywanie
wpadł metaliczny głos gongu. Przer-
wa obiadowa. Sawicki podszedł
znów do okienka, zauważywszy, że
zostawił wilgotny odcisk na ścianie.
Samochodu ani śladu, tylko
gdzieś w oddali miga między sosna-
mi sylwetka jakiegoś waligóry, oto-
czonego przez karzelki. Obrzurm
sądzi długim krokiem, obok podpretu-
ją maly. Sawickiemu przypomniał
się jakiś radziecki film kolorowy.
Stał przed okienkiem zapatrzon
jak w ekran. Dopiero gdy zobaczył po-
błysk szkieł rogowych okularów,
błękitną chustkę na szyi waligóry
i huśtający się jak zabawka aparat,
wiedział, że to dziennikarz z War-
szawy, otoczony stórą chłopaków z
pobliskiej wsi, zmierzający na budowę.
Sawicki nie był przesądny, ale tym
razem jakaś radość błysnęła mu w
sercu na to spotkanie z waligóra.

Podbiegł do drzwi, targnął spią-
cego za ramię.

— Wicek, wstań przywitaj gościa.
Wartownik mrugnął okiem, wy-
bełkotał:

— Odczep się, Maryśka, więcej nie
pije...
Sawicki chwycił go za oszewkę,
za portki, dźwignął, aż mu w krzy-
żach trzasnęło i wniósłszy bezwład-
ne cielsko do wartowni trzepnął nim
o zbarżone łóżko polowe. Wicek
czknął potrzykróć, nim zachrapał.
Sawicki poprawił koszulę, podciągnął
spodnie i przyglądziwszy włosy
wyszedł otworzyć furtkę w bramie.

Na jego widok chłopcy przezo-
rnie zostali z tyłu, a waligóra zgar-
biwszy się wpool dał nurka w fur-
tkę. Sawicki przekreślił klucz w zam-
ku, fuknął na chłopaków, a potem
wyciągnął rękę do waligóry.

— Towarzyszu...
Dziennikarz przecierał, właśnie
kraciastą chustką okulary i patrzył
na świat bezbronnymi oczami kró-
tkowidza. Nie podał ręki Sawickie-
mu, powiedział tylko:

— Ja nie należę do Partii, proszę
pana.

Sawicki drgnął, jakby nagle urwa-
ła się taśma i baśń skończyła na ekra-
nie. Stał jeszcze chwilę z wyciągnię-
tą ręką. A potem zacinając się po-
wiedził:

— Proszę za mną, pójdźmy na
budowę.

Dziennikarz nałożył okulary, kra-
ciastą chustkę wpcchnął w kieszeń
— i poszli. Tylko chłopcom, którzy
przywarli nosami do siatki w bra-
mie, wydało się, że za chwilę cudak-
waligóra da susa nad świeżym mu-
rem cementowni i pójdzie het, het,
w zielone wzgórza płynące aż po
granice widnokręgu.

Dopiero wtedy, gdy dziennikarz
idąc do samochodu przyslanego z
miasteczka i przecierając okulary
potknął się o ogromny głaz, który
nawet nie uszedłby uwagi szkapy
dorożkarskiej, Sawicki zrozumiał, że
popelniał błąd. Że nie napotkawszy
odpowiedzi na swą wyciągniętą rękę
zamknął się przed tym człowiekiem
na cztery spusty. Że nie zaufał
waligórze, tak jak tamten
dziennikarzyna lubelski nie zaufał
jemu, pierwszemu sekretarzowi.

Chwyciwszy się kurczowo otwar-
tych drzwiczek samochodu, powie-
dził:

— Zostańcie jeszcze, ja wam prze-
cież nic nie pokazałem.

Waligóra przysunął zegarek do
uzbrojonych oczu i z wyraźnym
zmęczeniem odparł:

— Tak, tak, to piękna cementow-
nia. Przyjadę tu jeszcze za rok, pół
roku...

Sawicki patrzył za nękającym sa-
mochodem. I nagle szosa porwała
wpool las, aż sosny wirem w mgłę
się rozpląnęły.

II
— Wy powinniście należeć do
Partii, kolego Stefanie.
Człowiek w rogowych okularach

drgnął i przeniósł wzrok z okna
otwartego na perspektywę Warsza-
wy — ku nękającej niemal w głę-
bokim fotelu postaci redaktora na-
czelnego, który przewrócił właśnie
ostatnią kartkę reportażu.

— Po czym pan to wnioskuję? —
spytał patrząc na posiekaną
zmarszczkami twarz, na rozwichrzo-
ne resztki siwych włosów i dziwiąc
się — po raz nie wiadomo który —
czemu ten człowieczek nosi szkła
w tandetnej druczanej oprawce.

Naczelnym uniósł w zardzewiałych
od tytoniu palcach złoty maszynopis.
— Po tym właśnie — powiedział.

Człowiek w rogowych okularach
wstał — głową sięgając niemal po
włazy — i przeszedł się kilkaokr-
to po pokoju, skupiony i zamknięty
w sobie, jakby chciał wykolysać fra-
zę muzyczną z odległego, stumio-
nego terkotu redakcyjnych maszyn
do pisania. Zatrzymał się u ok-

na, rzucając — jakby groził całe-
mu miastu — szeroki cień na roz-
świetlane w wiosennym słońcu do-
my i ulice, powiedział:

— Z tego, na dobrą sprawę, nie
należy nic wnioskować.

— Jak to? — naczelnym stuknął
dłonią o biurko. — Jak to, kolego?

Obrzurm pod oknem wzruszył ra-
mionami. Naczelnym podbił się z fo-
tela, schylił głowę, jakby chciał
koźlim truchtem wziąć obrzurm na
rogi. Stojąc tak i patrząc spode łba
zauważył, że głowa wielkoluda sięga
aż za Wisłę i gubi się gdzieś wśród
domków Saskiej Kępy.

— Jak to, kolego — powtórzył. —
Przecież wierzyacie w to, coście na-
pisali.

Obrzurm odwrócił się od okna.
Stał teraz uśmiechając się lekko na
wzrost wzburzonych włosów naczel-
nego.

— Tak, tak — powiedział — to
piękna cementownia. Tylko że, wi-
dzi pan, to nie jest kwestia tego,
czy ja wierzę czy nie wierzę... To
nie jest kwestia sumienia.

— Więc...? — spytał spode łba
człowieczek w druczanych szklach.

— Więc... tak właśnie trzeba dziś
pisać — odparł z uśmiechem wiel-
kolud.

Człowieczek schował się nagle w
fotelu, jak ślimak, którego dotknię-
to.

— Wy nie nie rozumiecie — szep-
nął — wy nie nie rozumiecie...

— Towarzyszu redaktorze! Gdzież
ten reportaż?

Rosły blondas wpadając do poko-
ju nie zamknął nawet za sobą drzwi
obitych skórą. Chrzest maszyn do
pisania wskoczył do gabinetu z si-
łą dziesięciu tysięcy świerszczy.
Człowiek w rogowych okularach
drgnął i pospieszył zamknąć drzwi.
Naczelnym powiedział:

— Nie będzie reportażu.

Blondasowi opadła szczęką. Chwy-
cił się za głowę, nim wykrzusił:

— ...tto mnie... możliwe.

Naczelnym ściągnął usta.

— Możliwe — powiedział. — Da-
cie materiał zastępczy.

— Ależ towarzyszu redaktorze, na
litość boską, reportaż szedł zamiast
wstępniaka! I nic nie ma na to
miejsce!

Człowiek w druczanych okularach
odparł:

— Towarzyszu Grzelak, napisze-
cie... na to miejsce.

Blondas zakreślił się w kółko i roz-
łożywszy ręce zatrzymał przed ol-
brzymem w rogowych okularach.

— Jak Boga kocham, ja z siebie
tyle nie wyduszę... — Drżący palec
wymierzył w pierś wielkoluda. —
Wyście machnęli taką kobyłę, taką
kobyłę...

Głos mu się zalał, tak że przez
chwilę dochodził do gabinetu tylko
stłumiony szum maszyn, nim blond-
das wrzasnął:

— Spóźnimy numer! Czyście po-
szaleli, towarzysze??!

Naczelnym wstał i wolno podszedł
do okna. Stał teraz z boku, w cie-

niu słonecznych domów i ulic —
człowieczek z białą, rozchwianą czu-
pryną, człowieczek w tanich okula-
rach. Stojąc tak i mrużąc oczy spy-
tał twardo i głośno — jakby rzucał
ze swej zapadłej piersi pozdrowienie
całemu miastu:

— Wierzyście?

Wielkolud zaś spojrzawszy nagle
na skrzywioną jak do płaczu twarz
blondasa, na usta szepczące: „t ak
k a kobyłę...” — wyprostował się
i rzekł:

— Wierzę.

A potem zamknął za sobą obite
skórą drzwi gabinetu.

III

„CREDO in unum Deum, Pa-
trem omnipotentem, factorem
coeli et terrae... Ukrywszy twarz w
dłoniach mocował się z zawodzeniem
niedzielnego tłumy. Kobięce dysz-

W pokoju był półmrok. Lampa
sączyła przez abażur spokojne świa-
tło na rozsypane po biurku maszy-
nopisy i notatki, na kupki popiołu
i pek fajek w glinianej podstawce.
Człowiek w rogowych okularach
przeciągnął dłońmi po czole. Za ok-
nem skrzyła się wieczorna Warsza-
wa.

— Ze niby... „Dr Jeckyll i Mr,
Hyde”? — spytał.

Irena zaśmiała się lekko.

— Akurat... Ze niby... „Wyspa
skarbów”, mój drogi. Krytykował
zresztą ostatnią twoją książkę. I...
miał rację.

— Trybuni i krzykacze wiecowi
zawsze mają rację — odparł czło-
wiek w okularach.

Irena odgła usta.

— Mówisz tak dlatego, że Witk
— a nie ty — dostał w tym roku
Nagrodę Państwową... A zresztą po-
wiedź, po co ty się tak straszysz na
te reportaże? Ta cała cementownia,
mój Boże...

Stefan zdjął okulary, przecierał je.
Patrząc na świat bezbronnymi ocz-
mi krótkowidza, powiedział:

— Ruśka, nie utrzymujmy fikcji.

Irena uśmiechnęła się niewyraź-
nie:

— Też coś, przecież ty całe życie
utrzymujesz się z fikcji.

Człowiek nałożył okulary i z lek-
kim wahaniem w głosie rzekł:

— Byłem dziś rano w kościele... —
zajął się, przesunął znów dłońmi
po czole — i przyszło mi na myśl,
że... lepiej będzie dla nas, dla cie-
bie, Ruśka, i dla mnie, jeśli...

Irena osunęła się w fotel.

— Jeśli... co? — spytała.

— No, widzisz — chrząknął — toś
bie będzie lepiej... z Witkiem.

Było tak, jakby w okno uderzyły
wszystkie światła Warszawy. Czło-
wiek w okularach zamknął oczy.
Słyszał szybki oddech Ireny i szum
światła bijących o szybę. A potem
— w czasie odmierzonego tykaniem
starego zegara, który wydzwaniał
kuranty Big-Benu — szum ścichi i
oddech Ireny stał się prawie nie-
uchwytny. Człowiek w okularach
przeciągnął po omacku dłońmi po
czole.

— Bo to jest tak, Ruśka, ty mi
już nie więcej dać nie możesz...
Dzieci — zakaszała — nie mamy...
Daj mi z siebie — znów zdjął
okulary i bronął się przed światłem
wzrokiem krótkowidza — wszyst-
ko...

Dopiero teraz, gdy uczył we
względnie nosa ucisk rogowej
oprawki, spozregł, że Irena stoi
u okna w aureoli światła wieczo-
rnych. Zgarbiona, maleńka, ni to po-
kuttica, ni święta. Sam też się zgar-
bił podchodząc do okna, by móc —
tak jak ona — oprzeć dlonie na pa-
rapiecie.

— Ty jednej rzeczy nie wiesz, Ste-
fan...

Pochylony słyszał, jak długo prze-
lykała sline. W wieczorne miasto
patrzyło się stąd, jak w dolinę zło-
ta i diamentów.

— ...ty nie wiesz, gdzie jest... wy-
spa skarbów.

Człowiek w okularach położył
rękę na sercu. A kiedy drzwi zam-
knęły się cicho za Ireną, skrył
twarz w dłoniach tak, jakby nigdy
i nigdzie, w żadnym zakamarku
serca, ani w żadnym zakątku zie-
mi, ani w żadnym zalewie oceanu
— nie było wyspy skarbów, jak
świat długi i szeroki.

V

LETNIEGO wieczoru na molo
gdynskie wszedł wysoki meż-
czyzna w angielskim, gabardino-
wym płaszczu, z elegancką tęczką
w ręce. Miał na nosie duże, rogo-
we okulary. Młody milicjant —
stojący u trapu prowadzącego na
pokład statku, który odpływał o
północ pod brytyjską banderą —
wyciągnął dłoń i pomagając sobie
kieszonkową latarką, sprawdził do-
kumenty dryblasza.

— Wasze nazwisko, obywatelu?

Zaskoczony milicjantem zerknął
znad paszportu i zobaczył, jak w
grubych szklach olbrzyma pelgają
wszystkie światła Gdyni rozsypane
na nadmorskich pagórkach.
Zreflektowawszy się, zapytał:

— Your name, please?

Człowiek w okularach drgnął.
Przeciągnął dłońmi po czole.

— Harold Stevenson — odparł.

Milicjant zwrócił dryblasowi pa-
piery i przyłożył dwa palce do
daszka. Mijając go i wchodząc na
trap, człowiek w okularach nie u-
chylił nawet kapelusza.

...Nie żal mnie ziemi, gdzem
młodość strawił,
Niestraszne podróże wodne,
Zaluję tylko, żem nie zostawił
Nic, co by było też godne...”

IV

WITEK mi mówił — Irena
jak zwykle usiadła na po-
ręczcy fotela i jak zwykle kiwała
nogą w zgrabnym pantofelku — że
ty, Stefan, masz w sobie coś z du-
cha Stephena, że gdybyś pisał
tak jak myślisz i to, co myślisz —
pisałbyś właśnie jak Robert Louis.

IV

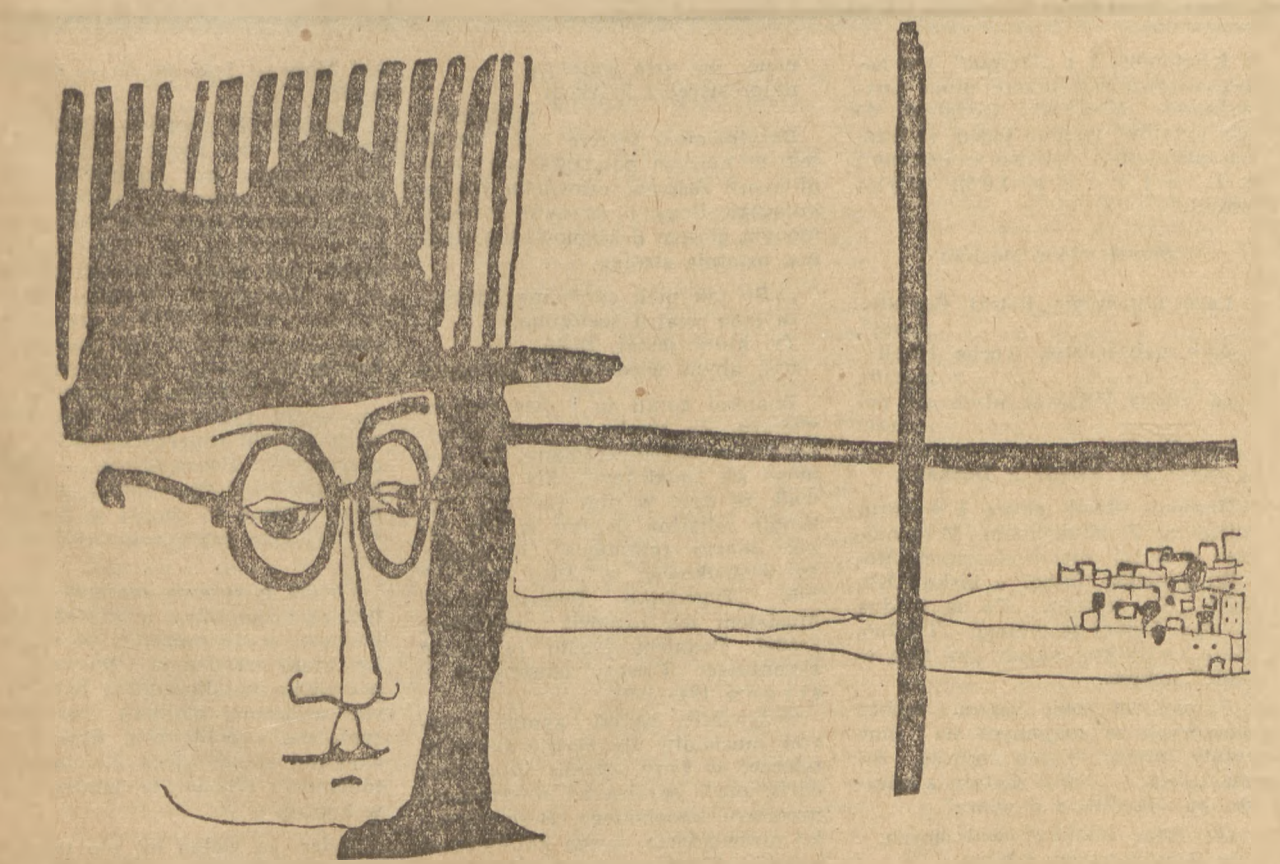
IV

IV

IV

IV

IV



UDERZMY W STÓŁ!...

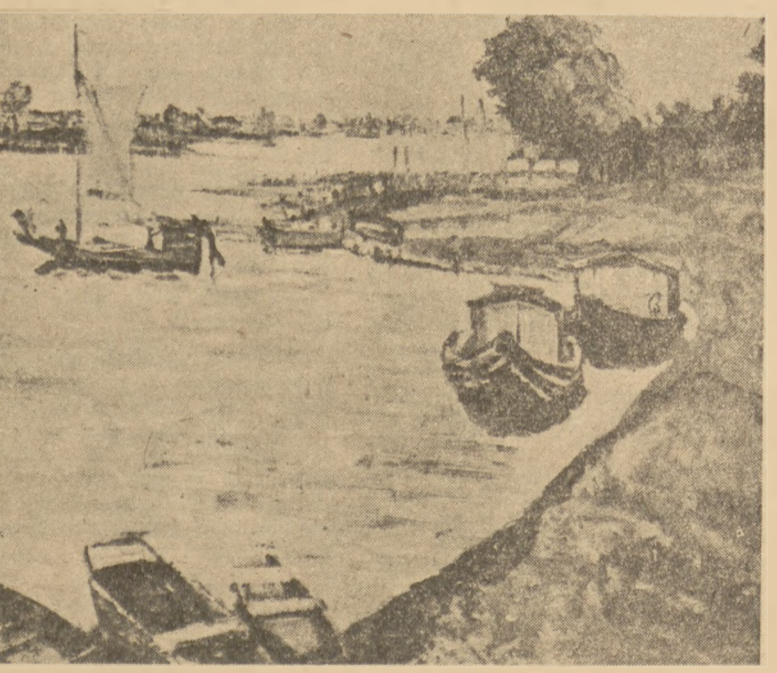
Z V wystawy
Okręgu Warszawskiego
Związku Polskich Artystów Plastyków



Jan Wodyński — Czytająca



Irena Wilczyńska — Martwa natura



Eugenia Różańska — Krajobraz z nad Narwi

KILKA lat temu — kiedy w literaturze naszej liczby się przede wszystkim ambicje pisania o współczesności i kiedy wartość dzieła mierzono głównie aktualnością tematu, wybaczyć za to chciało wiele artystycznych pomysłów — książka ta byliby rewelacją, wydarzeniem o niemalym rozgłosie i wpływie. Jeśli jednak powiem, że dzisiaj nią nie jest — niech mi to nie będzie poczytane za chęć pomniejszenia zalet opowiadań Żurawca czy podważenia racji, jakie uzasadniają ich wydanie. I tym razem, podobnie jak przed rokiem swym tomikiem poetyckim, Żurawiec ubiegł innych pisarzy katolickich, dając rzecz najsilniej napełnioną współczesnością, pokazując ludzi, którzy dochodzą do świadomego udziału w jej kształtowaniu, do przyjęcia pełnej odpowiedzialności moralnej za swój aktywny do niej stosunek, za swą postawę polityczną, wreszcie i za przyszłość świata, która w dużej mierze od nich właśnie zależy i przez nich jest w każdej chwili rozstrzygana. Rzecz współczesna nie z pozorów, nie z pseudowspółczesnych rekwiizytów, ale ze swej wewnętrznej treści, z sięgnięcia w głąb sumień ludzi współczesnych i pokazania tam, od wewnątrz „od środka”, zasadniczych problemów naszych czasów.

Pisząc o „Cierpkich winogronach” należy o tym pamiętać, należy podnieść te walory, które dają im wyjątkową przewagę nad tym wszystkim, co w twórczości katolików pretenduje do miana współczesnego. Ale batalia o współczesność ma już za sobą wstępną fazę narodzić — pojęcia głębiej i bardziej dojrzałe, zwiększa stawiane pisarzem wymagania; dlatego pamiętając o cennej inicyjatywie Żurawca trzeba dostarczyć również pomysły i nieporozumienia tej na pewno niespóźnionej książki, których nie usprawiedliwiał i nie wyjaśniał — a raczej uwyrażał — poważne ambicje problemowe zawartej w niej opowiadania.

Ambicje... Słowo mocno u nas nadużyte, zbyt hojnie rozdzielane pomiędzy tchorzliwych autorów, często jedyny komplement i tytuł do — krótkotrwałej zresztą — sławy. Wobec „Cierpkich winogron” używam go z pewnym wahaniem, nie mając zamiaru zamknąć w nim częstą pochwałę. Z wahaniem: bo określenie to — słuszne, jeśli chodzi o śmiałość wprowadzanie do literatury katolickiej problemów niemal jej nieznanych — wobec całości zamysłu autora byłoby wydane na kredyt, znalazłoby częściowe tylko pokrycie.

Jeśli pisarz uchylił się od ważnych, żywotnych spraw, które powinny się w jego dziele odezwąć — będzie to wykroczenie przeciw temu, czym jest, czym powinna być literatura. Ale chyba również ciężkim wykroczeniem przeciw istocie pięknej sztuki pisania jest dobrowolna rezygnacja z właściwych jej środków działania, wybór ponad miarę ułatwionej drogi. Wydaje się, że Żurawiec przegrał wysoką stawkę, jeszcze nim zasiadł do pisania. Przegrał wtedy, gdy zgodził się, by w swym języku były tylko beletryzacja aktualnych problemów, narzędziem dowodzenia pewnych tez politycznych, gdy dobrowolnie wwrzucił się zasad artystycznego organizowania i artystycznej motywacji przedstawianych treści. Przystając z góry na jakąś pólliteraturę, zrzucił brakiem pisarskiej odwagi, pozwolił, by już na wstępie publicysta pokonał w nim artystę. To gniewa czytelnika najbardziej i o to mam do autora „Cierpkich winogron” wielki i — sądzę — uzasadniony żal. Tym bardziej, że nie wynika to z nieporadności — bo na robocie literackiej Żurawiec zna się dobrze — lecz z a priori przyjętej, a niesłusznej i niekulturowej melody. Inna sprawa, że na szczęście nie wytrwał przy niej do końca.

Nieudany ówczesny literatury z publicystyką zemiścił się szczególnie srogo na wstępnym, najwęższym napisanym opowiadaniu („Jack Kerton nie wraca do bazy”). Później autor poczuł się cieżkawo, w tym dziwnym związku, stwarzany

przezeń świat domagał się coraz silniej samodzielnego, nie skrepowanego istnienia, jego bohaterowie zapagnęli własnego życia, protestując przeciw narzuconym więzom. Przewyciężanie umowności „Jacka Kertona” zarysowuje się już w następnym utworze („Judasz potrzebny od zaraz”) i w opowiadaniu tytułowym — które zyskuje największej rozmachu i swobody — kończy się powodziem. Takie uszeregowanie opowiadań Żurawca uzasadnia nie tylko chronologia: opowiadanie koreańskie jest najsłabsze także dlatego, że mówi o ludziach najmniej autorowi znanych, że opiera się na szczeblej stosunkowo bazy własnych, bezpośrednich doświadczeń; opowiadanie polskie jest w tomie pozycja najmocniejsza, bo ten temat jest pisarzowi najbliższy, bo tu — mając spory zasób własnych przeżyć i własnych spostrzeżeń — czuje się swobodnie, pewnie, może dać najwięcej z siebie. Być może, wyjaśnia to częściowo przyczynny owych wstępnych zabiegów autora „Cierpkich winogron”, mających zapewnić mu jakieś podparcie w wyprawie w nieznanne, ale świadczące też o prężności tłumionej początkowo potencji twórczej.

W tomie są trzy opowiadania. Każde z nich to odrębna całość fabularna, z własnym bohaterem, z własnym problemem. Każde dzieje się w innym kraju: w Korei, w Niemczech zachodnich, w Polsce. Każde też tłumaczy się samo w sobie. A jednak — co autor wyraźnie podkreśla — mają one stanowić jedną opowieść, mają tłumaczyć się razem, połączone wspólną tezą naczelną. Żurawiec formułuje ją wprost: jest nią „myśl o wielorakości świata, w której potwierdza się jego jedność... (myśl) o odmienności istnień ludzi i narodów, w której leży dowód na wspólność ludzi i narodów”. W całym świecie — w każdym kraju, w każdym narodzie, w każdym człowieku — toczy się walka o sprawy wspólne, w obronie zagrożonych praw i wartości ludzkich, walka, która jednoczy ludzi różnych. Współczesne wydarzenia i przemiany nie omijają nikogo, zmuszając do zajęcia wyraźnej postawy, do opowiedzenia się po czyjejsz stronie, wymagając decyzji moralnej. Zaden człowiek nie może uniknąć zaangażowania politycznego, gdy wstrząsają się losy świata, nie może nie powinien zachować neutralności.

W „Cierpkich winogronach” postawiona zostaje sprawa moralnego aspektu politycznych decyzji i poczynań. Żurawiec domaga się od swych bohaterów dokonania politycznego wyboru, odwołuje się do ich sumienia, do najgłębszych racji etycznych, które mają być podstawą i miarą ludzkich postępków. Tak też dzieje się w „Jacku Kertonie”, „Judasz”, „Cierpkich winogronach”: ich bohaterowie zaczynają od moralnego protestu, sprzeciwu wobec nieludzkiej i niesprawiedliwej wojny prowadzonej w Korei („Jack Kerton nie wraca do bazy”), wobec odradającego się faszyzmu w Niemczech zachodnich („Judasz potrzebny od zaraz”), wobec godzących w nasz byt narodowy przygotowań wojennych („Cierpkie winogrona”). A więc — sprowadzając rzecz do wymiarów bardziej generalnych — bohaterowie wszystkich trzech opowiadań mają przed sobą alternatywę: pokój czy wojna i muszą ją rozstrzygnąć, muszą zdecydować się — sytuacji, w jakich stawia ich autor, nie pozwalają uchylić się, uniknąć decyzji — na jedną z tych możliwości. I tu we wspólnym protestie przeciw wojnie, we wspólnej afirmacji pokoju spotkają się: zestrzelony lotnik amerykański, urzędnik niemiecki, polski ksiądz katolicki. Spotkają się połączeni wolą czynnego przeciwdziałania grożącej światu katastrofie. Na tym polega jedność trzech opowiadań Żurawca.

JAK już pisałem, „Cierpkie winogrona” są zbiorem opowiadań z wyraźną tezą. Nie jest to określenie obraźliwe i pomniejszające, jeśli rozumie się przez nie koncepcję filozoficzną, polityczną czy mo-

ralną, jaką pisarz chce pokazać w świecie, który stwarza w ludziach, których przywołuje na karty swych utworów. Dawno już dowiedziono, że tak pojętą tezę odnaleźć można u najwybitniejszych twórców i że ona w dużym stopniu stanowi o sile i trwałości ich dzieł. Rzecz jednak w tym, by teza wynikała z układu powieściowych zdarzeń i postaci, by czytelnik uwierzył jej i wierzywszy prawdzie przedstawianego świata. By zdarzenia i postaci zachowały pewną niezależność od tezy, by zostały poddane jej pośrednio, skuteczniej jej w ten sposób służyć. U Żurawca — myślę teraz głównie o „Jacku Kertonie”, który jest klasycznym przykładem dominującej w tomie techniki pisarskiej — poszczególne cząstki treściowe pozostają w najprostszym stosunku do tezy naczelnej, są bezpośrednio jej podporządkowane, służą jej dobitnemu, czasem wręcz natrętnemu wypowiedzeniu. Żurawiec jest pisarzem generalistą i nasycą nimi konkret przekraczając granice wytrzymałości, granice życiowego prawdopodobieństwa. Prawa, jakie działy w historii i jakim podlega człowiek, wzięte są zbyt dostownie, ich obecność ujawnia się na każdym kroku, autor sił'e o nich przypomina. Wyśilek pisarza zmierza do nadania pokazanym problemom i konfliktom jak największej ostrości politycznej i moralnej, do wykazania słusności swej myśli zwartym ciągiem logicznym, zespołem starannie usystematyzowanych przesłańek. Każda postać, każdy postępek, każde wydarzenie odnozą się wprost do głównego problemu, stanowią materiał dowodowy, argument o bezpośredniej roli użytkowej. Ścisłe, geometryczne przyleganie cegiełek konstrukcyjnych do siebie nie pozostawia w opowiadaniu żadnego luzu, czyni ten świat, zatłoczona całość, w której na próżno by szukać spotykanych gdzie indziej treści odbarwionych pewną autonomią, pozornie zaprzeczających tezę, a w istocie potwierdzających ją, pozwalających zaufać prawdzie artystycznego obrazu.

Żurawiec lubi grać silnymi kontrastami. Jego bohaterowie, chętnie doбирали w kontrastowe pary (Kerton — Lenoch, Lothar — Erich, ks. Schimmler — ks. Fieber), dźwiała się (w „Jacku Kertonie” i „Judasz”) na dwie grupy, które otrzymują odmienny rodzaj psychicznego budulca. Postaci negatywne — które, rzecz jasna, w przeciwnieństwie do pozytywnych są z reguły złe, nieuczciwe — zostały wyraźnie przez autora skrzywdzone: pozbawione prawa do myślenia, nie podlegające zmianom, zamknięte, automatyzowane. Mournier ostrzegł katolików, by nie ułatwiali sobie sprawy ułog ludzi niewierzących za głupców. Myślę, że sens tego ostrzeżenia można — mutatis mutandis — przenieść i na płaszczyznę artystyczną: nie ułatwiali sobie sprawy przedstawiając w literaturze przeciwników politycznych jako lotrów spod ciemnej gwiazdy, lecz dojrzejmy w nich przede wszystkim umępną funkcję hamującą prawidłowy rozwój, wstępną siłę polityczną czy społeczną. Trzeba dodać, że w dwu pierwszych opowiadaniach bohaterowie pozytywni są też — bardziej wprawdzie złożonym — ale mechanizmem, są podobnie uwarunkowani na pewien zespół bodźców, które zupełnie nie docierają do ich kontrpartnerów. W „Jacku Kertonie” postać centralna osadzona jest jakby w probówce, autor dąkując jej stopniowo coraz to nowe doświadczenia, obserwuje uważnie zachodzące w niej przemiany, które systematycznie narastają, nakładając na siebie kolejne ognia, wszystko działa sprawnie, precyzyjnie, bez potknięć i zakłóceń zmierzających w przewidzianym kierunku.

Żurawiec — wiedząc o tym, dobrze czytelnicy „Wiecu w środku człowieka” — jest pisarzem niecierpliwym. Chce mówić o sprawach, które obchodzą wszystkich i przez to są ważne i godne utrwalenia w sztuce; maglony poczuciem, że mówi o nich trzeba, że stawiać je należy ostro, wyraźnie, bez niedo-

mówień — pisze o przeżyciach je szcze w nim poetycko nieokrzepłych i niedojrzałych, zanim na dobre poczucie w sobie temat. Powierza słowu myśli i uczucia nie w nim samym powstałe, nie zubożone o ton własny; nie zauważa, że jest to głos martwy, który ginie przed, nim zostanie wypowiedziany. Stąd obok dobrej poezji („List do kardynała Spellmana”) — rymowana publicystyka („Akt oskarżenia”). Stefan Lichański omawiając „Wiec” kończył słowami: „natus est poeta”. Sądzę, że „List do kardynała Spellmana” jest argumentem w zupełności usprawiedliwiającym taki wniosek, przyznam jednak, iż z większą nadzieją witam Żurawca — prozaika. Po prostu wolę „Cierpkie winogrona”, budzą we mnie większe i zainteresowanie, i zaufanie. Wprawdzie i tu owa niecierpliwie jest źródłem niejednej porażki, ale też — paradoks — atutem tej książki, pełnej pasji i temperamentu. Wyróżnia to opowiadanie Żurawca korzystnie od wielu nijakich, jalo-wych książek, zjednuje czytelnika, który nie odnosi się do nich obojętnie.

KIEDYŚ, przed kilku laty, tożono w naszej prasie gorące boże o temat współczesny w literaturze katolickiej. Pisano głównie o tym, jaka powinna być, spierano się o jej przyszły kształt, gwałtownie domagano się realizacji postawionych jej dopiero co wymagań. W ogóle mówiono o niej sporo, choć pisarze na ogół ociągali się z podjęciem prób stworzenia sztuki nowej, żyjącej w pełni sprawami swego czasu. No, ale dyskusja, która nie ma oparcia w konkretnych zjawiskach twórczych, nie może trwać w nieskończoność; toteż i ta zaczęła stopniowo wygasnąć i dziś jakoś żadna siła nie może wznieść jej na nowo. A przecież mamy już po kilka wyścigów książkowych i w poezji, i w prozie, których autorzy dołają się z cępną i nie ulegającą im latwo problematyka naszych dni.

Wkrótce minie okrągły rok od ukazania się „Wiecu w środku człowieka” Mateusza Żurawca. Niewesoła to będzie rocznica: zbiorke ten doczekał się w ogóle tylko jednej recenzji; poza tym nie udało się przełamać owej dziwnej „zmony milczenia” i krytyków, i poetów, i Milczenie to pokrywa w tym wypadku wiele sprzeciwów i sporów, szkoda więc, że przegapiono okazję ich ujawnienia. Mogłby wprawdzie ktoś powiedzieć, że dyskusja trwa nadal — zmieniły się tylko jej formy. Że każda nowa książka jest w niej argumentem, jest pozycją takiego a nie innego sposobu widzenia i ukazywania świata. Tak też chciałem potraktować „Cierpkie winogrona”, tak sądzę należało postąpić i z „Wiecem”. Są one glosem w dyskusji i propozycją, która czeka na odpowiedź. Dla mnie bezsporne jest jedno: „Cierpkie winogrona” wyznaczają właściwy kierunek w rozwoju prozy katolickiej i to jest sprawa zasługująca na szczególnie silne zaakcentowanie. Są pozycją najbardziej ekzemplarną problemową i przez to zobowiązującą dla innych. Natomiast przedmiotem sporu pozostaje metoda pisarska, moim zdaniem, jak to starałem się wykazać, w wielu punktach niesłuszna, ale też na pewno nie jedynie, tylko jedna z wielu, jakie stoją do wyboru. Myślę, że sporo można się nauczyć i na negatywach opowiadania Żurawca i dlatego warto, by się o nie trochę posprzeczało, dlatego na nich się przede wszystkim zatrzymać, świadomie je wykaskrawiając i mówiąc o nich niecierpienie; myślę, że prawo do prowokacji przysługuje nie tylko pisarzowi wobec czytelnika. Być może będzie to korzystne dla autora, który oby — nie chcą tu tego rozstrzygać — wywziął się nadmiernej nieufności wobec swych pisarskich uzdolnień lub przesadnej pewności...

Ślawomir Blaut

¹) Mateusz Żurawiec: Cierpkie winogrona. Wydawnictwo Pax, Warszawa 1954, s. 336.

PROFIL BOJOWNIKA

(Dokończenie ze str. 4).
Takim ocala go „Utwory zebrane” i nasza pamięć.

Z NASZEGO STANOWISKA

ZACHOWUJĄC w pamięci profil Tadeusza Borowskiego, każdy z nas — chociaż będzie to ciągle ten sam profil — zapamięta go inaczej. Zwykła rzecz; normalne prawo perspektywy i kąta patrzenia w każdym z nas — zależnie od tego, z jakiej pozycji spojrzymy — choćby o ułamek zmieni proporcje, ukaże całość w innym ustawieniu. Będzie to jednak ciągle ta sama całość. Każdy z nas profil każdego z nas widzi inaczej, ale to nie znaczy wcale, że tylko jeden z nas widzi go prawidłowo. Z sumy tych różnorodnych spojrzeń powstaje synteza spojrzenia pełnego.

Trochę inaczej od innych widzę profil Tadeusza Borowskiego kato-

licy. Nie wspomnieć w tym szkicu o specyficzności tego spojrzenia byłoby tanim i tchorzliwym unikami. Tak samo byłoby błędem nie powiedzieć o tym, że i wśród katolików różni różnie naszkicowaliby jego portret. Co tu dużo gadać i skrywać prawdę pod korcem! Są na pewno tacy, którzy tym portretem chętnie straszyliby grzeszne dziewczynki lub dobrych chłopców z socjalicy. Nie brakuje takich, którzy — zarażeni wielką megalomanią światopoglądową — na wszystko, co wyszło spod pióra człowieka obciążonego grzechem apriorycznie wrogoci wobec Kościoła, patrzą jak na pomiot diabła.

Aby ustrecz się i błędu uniku, i błędu, który sprawia, że opinie rezultek reakcyjnego ciemnogrodu skłonni są niektórzy utożsamiać z opinią wszystkich katolików, chciałbym w zakończeniu tego szkicu powiedzieć to, co — moim zdaniem — powinien powiedzieć ktoś, kto stojąc na płaszczyźnie światopoglądu katolickiego — solidaryzując się z rewolucyjną, społeczną, ogólnohu-

manistyczną treścią pisarstwa Borowskiego, a jednocześnie — właśnie dlatego, że stoi na płaszczyźnie precyzyjnie określonego światopoglądu — nie może łatwym milczeniem pokrywać pewnych wyraźnych akcentów tego pisarstwa, akcentów, które każdego katolika muszą żywo obchodzić.

Jest rzeczą wiadomą, że jednym z wielu przedmiotów wywiadowczej, bojowej i dekonspiratorskiej akcji Borowskiego, jednym z wyraziściej manifestujących się jego ataków na kontrę były pełne pasji napady na Kościół, na kler, na reakcję odgradzającą się od wielkich przemian rewolucyjnie socjalistycznej znakami kryzysu świętego. Wystarczy przypomnieć niektóre z jego artykułów (jak np. „O biskupach i linoskoczkach”) lub niektóre z jego opowiadań (jak np. „Dysputy księdza do brodzia”) czy niektóre z jego wierszy (jak np. „Modlitwa o zbawienie duszy Kaltenbrunnera” albo „Modlitwa księdza” z „Końca wojny”). Chociaż pamiętałem o tych i o wielu innych, podobnych w pafletowym, ostrym posmakie oskarżeń — utworach, moi znajomi, którzy chcieli mieć atować przed straceniem myślenie płątanina się w te sprawy, wysłili się na cytaty i

z felietonów, i z „Dysput”, i z zasygnalizowanych przede mną nawiasowo „Modlitw”. Dodatek do ich cytatów jeszcze jeden (wyraźnie akcentując: „Utwory zebrane”, t. I, S t r o n a 195). Cytat krótki:

przysłowie z Dachau

Parę numerów „Polski Chrystusowej”, parę nabożeństw, trochę lekcji z mszału, aż wśród Polaków utrże się po mału

przysłowie:

„głupi jak ksiądz z Dachau”.

Znajomi kiwali głową z wyrozumieniem. Z oburzeniem. Przyszliśmy w dużej mierze słusznym. Mówili: a ojcie Kolbe? a biskup Kokoz? No, widziś. To za trudna sprawa. Lepiej ją ominąć. Trudno, nie o wszystkim należy „na tym etapie” mówić.

Pozwoliłem sobie potem wobec niektórych ze znajomych na inne cytaty innego — jak chytrze zaznaczałem — poety. Cytaty z wiersza pt. „Modlitwa o wiarę”
o, Boże żołnierzy walczących,
o, Boże marszów i bitew,

naucz me usta wąpiące najprostszej z ludzkich modlitew”.

Recytowałem jeszcze kilka zwrotek, w których powtarzał się modlitewny zaśpiew człowieka poszukującego Boga i wreszcie wzmożonym głosem deklamowałem siódmą, ostatnią strofę:

„...Bo jak patk serce me trwożę za lada wiatru szelcetem, Ty, który jesteś, Boże, daj, abym wiedział, że jestem”...

Znajomi ganili to i owo w tym wierszu. Że trochę za patetyczny. Że trochę bogociczyzniany. Że nie mówi się „modlitew”. Ale przyznawali, że czuć w nim rzetelną tęsknotę religijną, że jest w tym jakiś „sensus catholicus”, że można by wydrukować w „Dziś i Jutro” lub „Tygodniku Powszechnym”. Musiałem ich ostudzić podaniem źródła. Podałem źródło (wyraźnie akcentując: „Utwory zebrane” t. I, strona 194—195).

Oczywiście, wśród symplikatorów musiałaby się zjawić sugestia: uderzyć w tony „anima naturaliter christiana”, spróbować dyskretnego manewru kaperskiego. Borowski jako nieświadomy swego katolicyzmu katolik! Wielki zlagier intelektual-

ny! Może — jeśli się da — spróbować?

Uważam, że lepiej — nie. Na pewno — nie. Byłoby to nieuczciwe. Trzeba być lojalnym wobec dialektyki przemian. „Modlitwa o wiarę” powstała w okresie zaraz po wyzwoleniu, w obozie Freimann pod Monachium lub w samym Monachium. A więc gdzieś między majem 1945 i czerwcem 1946. To znaczy: w tym samym okresie, co lojalnie zacytowane w całości „Przysłowie z Dachau”. Nie ma sensu przemycanie jakichkolwiek sugestii zmierzających ku „ochrzczeniu” Borowskiego. Byłoby to ciasne, i śmieszne, i grubiańskie. I nie o to chodzi w pozornie chytnej grze przeciwnikowskich cytatów.

Chodzi o sprawę znacznie ważniejszą i znacznie... uczciwszą. Mianowicie: o stwierdzenie, że wszystkie ataki Tadeusza Borowskiego przeciwko katolicyzmowi były prawie wyłącznie atakami przeciwko społeczno — politycznej funkcji reakcyjnej części kleru Kościoła katolickiego. Widział tu kontrę i bit w kontrę.

Sądzę, że wolno mi nie tylko we własnym imieniu zdobyć się na

ARYSTOFANES — pisarz współczesny

O Charlie Chaplinie pisał się u nas sporo. Młodziż? jednak nie może się doczekać na ekranie jego melonika, wąsików i laseczki. A przecież to człowiek XX wieku.

O Arystofanie i pisał się mało, i zadkiem być trzeba, by się chwalił obecnością na kłójcach z jego komedii. Solski odwołał się w 1912 r. wystawił w Krakowie „Gromiwoje” („Lizystraty”), za co miejscowe filistry gromiły przez 30 lat (na dłużej im życia nie stało). Schiller w Warszawie próbował na swój sposób witalności Arystofanesowego dzieła, wystawiając „Ptaki” — ten przedszkolnicowski „Sen nocy letniej” o Chmurku-kukulowiu.

O scenicznym zaś wznowieniu Arystofanesa nie słychać obecnie, choć to pisarz niebanalny — polecany gorąco przez Świątowią Radę Pokoju — a i bez tego wart wielkiej uwagi jako delegat, reprezentant, ambasador „atłyckiej soli”. Przy okazji obchodów i sesji związanych z uhonorowaniem i... przypomnieniem ludzkości pisarza, który pierwszy w dziejach stepsił — jeśli nie „gęsie pióro” — to z tuzin rylców w wojnie z wojną, warto by się zastanowić, czy i jak można by Arystofanesa wystawić w którymś z naszych teatrów.

Już na wstępie piętra się trudności. Arystofanes, pirotechnik słowa, rubaszny, nieco może kłótlivy i do kpiny przesadnej skory, był przede wszystkim publicystą swych czasów, a potem dopiero komediopisarzem. Był publicystą, pamiętajmy i o tym, operującym z lubością ciekawym i o tym, operującym z lubością ciekawym. Jego komedie — (a pisać, gdy trzeba było, trzy do roku) były tak aktualne dla ówczesnych atłyckich, jak artykuły wstępne naszych gazet. I dlatego roi się o nich od aluzji, dwuznaczności, powidzerek, latek i przyśmiewek — ciętych być może ówczesnie — dziś w większości niezrozumiałych, a więc niewesołych.

Cale szczęście, że mamy klucz do ówch aluzji. I to klucze sporých rozmiarów... „Wojnę peloponeską”

Tukidydesa, pięknie przetłumaczoną przez prof. K. Kumanięckiego („Czytelnik” 1953 r.).

O wojnie peloponeskiej mamy, jeśli nie groteskowe, to co najmniej balamutne wyobrażenia. Wkuwane w szkole daty bitew, imiona wodzów mieszały się nam w myślach z poetyckimi wizerunkami Iliady lub olimpijskich bogów wojowania. Mitologia przesłaniała nam historię sprzed dwudziestu pięciu wieków. Jakże nieradne, groteskowe wydawały się nam armie lakonicznych spartan i gadalich atłyckich po... tysiąc pięćset wojowników liczące. Tukidydes zresztą, znany z podręcznikowych wypisów, utwierdzał nas w tym przeświadczeniu. Spikował suche fakty soczysta słońcą przemówień, bawił opisem heroicznych czynów jednostek. W powodzi epizodów ginęły węzłowe problemy wojny.

Mit pryska — groteska przerada się w dramaty, gdy Tukidydesa czytamy w pełnym wydanu. Z opisu wydarzeń wyskakuje tam można zdania nieraz więcej mówiące niż mowy, które ten wielki historyk z lubością przytacza. I z tych rozszaniach w „Wojnie” słów oraz z własnego o wojnie doświadczenia możemy zrekonstruować prawdziwy obraz wojny peloponeskiej... pierwszej wojny światowej.

Dla mieszkańców Aten, Teb, Korintu czy Lacedemonii świat zaczynał się przy słupach Heraklesa — Gibraltarcie, a kończył się wśród skał, do których przytko Prometheus — skał kaukaskich. Obejmował wybrzeża i wyspy Morza Śródziemnego, Morze Czarne, wysejnek więc Europy, Azji, Afryki. I właśnie w tej całej śródziemnomorskiej niecce urzało gorączką utarczek, huczało łoskotem pancerniekiej miedzi, pluskim galerniczcego, przy wiosłach, mozołu.

Co sprawiło, że kraj Miltiadesa i Temistoklesa, kraj zwycięzców spod Maratonu i Salaminy, tak chaotycznie i nieudolnie wojnę prowadzi? Co spowodowało, że spokojni

do niedawna rzemieślnicy, przezorni kupcy i rozmaitowani w ładzie hodowcy oliwek przekształcili się w militarystów, korsarzy nieledzi?

No cóż! Postępowała do niedawna demokracja ateńska, owoc wysiłku Solona i jego pokolenia, przeżywała ciężką chorobę. Wirus demagogii politycznej, szermującej straszakami militarystów, opanował głowę Demosa Ateńskiego. Stał się metodą. Wtargnął do serc i mózgow tkwka właścicieli niewolników zbierających się co rano na agorze na deliberację o polityce. Zachrzęścił dźwiękiem lupionego złota.

W tym tłumku pasozują na najlepszej komitencie nie Fidaszowej miary typki: omatorzy na admirałów, spekulanci, opasli producent smutkich dzieł, handlarze ustaw i handlarze kapusta. Każdy z nich myśli o dodatkowym obolu, nikt zaś o boju. Bussines przede wszystkim. Patronuje zaś całej czeredzie Kleon, arcydemagog i arcyadmiral, biegły spekulant polityczny w mieszczchańskim surducie, przepasnym szabłą. Otacza go orszak sykokantów, z uszami wielkimi ponad wszelką przywitość, od podstuchiwania plotek... za które plyną obole z związkowego skarbuca.

Wśród tego tłumku prywaciarzy, żarłoków oboli, ideoburców i hermafrodytów przechadza się Arystofanes, arystokrata pióra. Dostrzegając chaos pojęć, słyszysz pompacyjną wrzawę zmilitaryzowanych karierowiczów układających plany wypraw, które nie zwycięstwo, a łupy mają na celu. Obserwuje bezmówcze rady popleczników Kleona, konszachty Alcibiadesa. Przeczusza, czym się ten szereg awantur zakończy, Ostręga.

Wielu Greków, zwłaszcza ze stronnictwa „umiarkowanych”, widzi to wszystko. Nie ma odwagi przełamać demagogicznego terroru. Arystofanes widzi tak samo i ma odwagę. Bo trzeba odważyć, by w ulu sykokantów os wystawić „Osy”, by ospalym demagogom, dum-

nym z pancerzy na brzuchach, porządek w „Rycerzach”, jak naprawdę wyglądała, a Kleona, ich „führera” — z profesji garbarza (faktycznie grabarza potęgi Aten) — zmieszać nie z białem, ale z pokiel-baskowymi pomijami i przyszczyć w dodatku warząchnią.

Arystofanes jest konsekwentny aż do przesady. Wszystko, co zżera dawną Grecję, jest mu wrogiem. „Sokrates podważa dawne wierzenia”? W łeb brudasa „Chmurami”. „Eurypides sproutada Olimp na ziemię, po freudowsku dzieli na czworo włosek erotycznej Psyche”? Precz z Eurypidesem, niech żyje Ajschylos, reakcyjny piewca rubasznej tejszy greckiej. Choć grozi to gardłem, pisze Arystofanes obroną i pochwałą sprzymierzeńców, demaskuje przewrotność ateńskiego Demosa wobec przyjaciół zka mór (Babilonczy 427 a Chr.).

Ale przede wszystkim — wojna, wojnie!

Dość bratnich zmagani! wola ten pierwszy Grek, choć z ateńskiego partykularza rodem.

Arystofanes walczy bronią najbardziej zjadliwą: szyderstwem i pamfletami; najbardziej masową: komediami, na które schodzi się cała męska ludność Aten.

Ale nie tylko demaskuje, obnaża, szydzi. Nie tylko zwalcza demoklikę zarazoną wirusem łupieżczego militarystów. Ma konkretny program pokoju — państwo wolne od politycznych kombinatorów, państwo rządne, sprawiedliwe, gdzie sykokantom figę pokazać można. On, Ateńczyk z krwi i kości, marzy o państwie wolnym od... ateńskich kacykch!

Stąd geneza „Ptaków”, jego najlepszej — zdaniem uczonech — komedii, perły baśniowego stylu i nastroju.

„Ptaki” wystawiono w pół roku po wystawieniu przez Ateny największej w tej wojnie armii i floty i wymarszu armady na podbój Sycylii. Cale społeczeństwo żyło nadzieją, że ten kolosalny wysiłek militarny i finansowy będzie ostatni, że zakończy wojnę. Czas najwyższy! Zamieszanie w mieście osiągnęło zenit. Gigantyczne śledztwo przeciwko burzyicielom herm przewraca wszystko do góry nogami. Szpicel szaleje, więzienia pełnią, rzadka ludzi zdrowego rozsądku. Zapowiada się proces monstrum. Kto żył ucieka z zadumionych, zasykokantowanych Aten. I marzy — przed Platonem — o jakimś państwie idealnym, choćby w chmurach...

Arystofanes wypowiada te marzenia po swojemu. Ale jak kpiną zaczął, tak apoteozą i afirmacją skończy. Uległ nastrojom ogółu. Radzi — druh z durnia i tchórzeza przerodził się w doskonałego organizatora i dyplomata. Bogowie mu ulegną i luteje. Jakby się taki Atenom przydał...

Nie zrozumieją nigdy głębokiego, właściwego sensu „Gromiwoju”, „Rycerzy” lub „Ptaków” bez historycznego komentarza Tukidydesa. „Gromiwoje” okazałoby się pornograficzną burleską, „Rycerze” lub „Chmurki” — trywialną farsą dla woźniców.

Trudno jednak z Tukidydesem pod pachą iść do teatru.

Toteż inscenizator pragnący dziś wystawić którąś z komedii Arystofanesa stoi przed nie lada zadaniem. Musi z całym pietyzmem dla tekstu „zakulturować” spektakl, musi tak podać dzieło, by każdy i bez historycznego komentarza właściwie je zrozumiał. Można to częściowo uzyskać przez wycienienie tego, co w Arystofanesie jest wieczne, ogólnoludzkie, trwałe i powszechnie zrozumiałe, a zatuszowanie tego, co w ciągu dwudziestu pięciu wieków uszło. Można bez szkody dla treści wyeliminować wszystkie zbędne dla bezładnego odczytania sztuki aluzje. Sztuka to trudna uwprawnie, eksperymentalna niejako, na miarę odważnego talentu.

Jerzy Wojciechowski

Przy wyborze komedii, metody

jej podania, szczegółów celowa byłaby współpraca reżysera z literatorem, znawcą antyku. Tym bardziej, że... właściwie nie dysponujemy przystosowanymi do sceny przekładami komedii Arystofanesa. Niech nas nie zmily wydany aktualnie przez PIW przekład „Ptaków” Józefa Jędrusza. Jest to wznowienie tłumaczenia dokonanego w 1921 r. Drobne poprawki tekstu dostarczą uwprawnię i laik, o ile oba teksty z sobą porówna. Ale stwierdzi też w łof, że przekład jest dosłowny, „profesorski”, naukowy. Naśladowa wiecznie greckie miary wierszowe, grecką składnię. Jest jednak różnica między stylem i duchem języka greckiego i polskiego. Naszemu widzowi przyzwyczajonemu do polskich miar wierszowych trudno byłoby się wstuchiwać w dosłowny rytm arystofanesowej poezji, trudno by chórowi polskich artystów recytować zgodnie:

Jaki ból, jaki ból na ma smutną duszę parli
okrutnie two siołci Polykam gorzkiek izy

Widzcie beznier mych straci, iży
Rabę ogół, co w zmierzchu polurzył dni

Blask pracjółów strwonił mi...
(„Ptaki” — Agon)

W nauce — ścisłości i pedantycznej wierności wobec oryginału jest godna pochwały, w teatrze — nie zawsze popłaca. Odstęstwo od litery oryginału na korzyść zwiewności i gładkości wiersza bywa dopuszczalne. Toteż bardziej „teatralny”, choć na pewno bardziej do-

SYMION DEREŃ

„Bracia Muzulmańscy”

Przed kilku miesiącami w artykule pt. „Ciemność egipskie” nowiłem o sprawie porozumienia egipsko-brytyjskiego dotyczącego ewakuacji strefy Kanału Sueskiego przez brytyjskie wojsko. Wskazywałem wówczas na słynnąję Egipcia porządkującą wzmagając się walk konsekwentny wśród rządzących w sposób dyktatorski Junty wojskowej, reprezentującej interesy narodowej burżuazji. Zewnętrzny przejawem tych walk były rozgrywki o władzę między dwoma Junty wojskowej gen. Mohamedem Nagibem a jego zastępcą plk. Gamalem Abdel Nasserem, który sprzeciwił się zakusom Nagiba zmierzającym do ustanowienia własnej dyktatury.

Wiosenny etap tych rozgrywek w krótkich ostatnich akcie gen. Nagib odwołał się do potężnej ligi „Braci Muzulmańskich”, a Nasser wystąpił jako reprezentant młodzieży wojskowej, która dokonała zamachu stanu obalając monarchię — skończył się porozumieniem kompromisu między dwoma kierownikami ligi. W gruncie rzeczy był to jednak pełny sukces Nassera, który w praktyce stał się dyktatorem pod nazwą „Bikbasz”, czyli „Wódz”.

W wypadkach tych ma specjalną uwagę zasługująca rola „Braci Muzulmańskich”, którzy w latach powojennych odgrywali dużą rolę w życiu politycznym Egiptu. Nie jest to partia polityczna, w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz stowarzyszenie badące swe cele i politykę materię polityczną i dyplomacją. Bogowie mu ulegną i luteje. Jakby się taki Atenom przydał...

Nie zrozumieją nigdy głębokiego, właściwego sensu „Gromiwoju”, „Rycerzy” lub „Ptaków” bez historycznego komentarza Tukidydesa. „Gromiwoje” okazałoby się pornograficzną burleską, „Rycerze” lub „Chmurki” — trywialną farsą dla woźniców.

Trudno jednak z Tukidydesem pod pachą iść do teatru. Toteż inscenizator pragnący dziś wystawić którąś z komedii Arystofanesa stoi przed nie lada zadaniem. Musi z całym pietyzmem dla tekstu „zakulturować” spektakl, musi tak podać dzieło, by każdy i bez historycznego komentarza właściwie je zrozumiał. Można to częściowo uzyskać przez wycienienie tego, co w Arystofanesie jest wieczne, ogólnoludzkie, trwałe i powszechnie zrozumiałe, a zatuszowanie tego, co w ciągu dwudziestu pięciu wieków uszło. Można bez szkody dla treści wyeliminować wszystkie zbędne dla bezładnego odczytania sztuki aluzje. Sztuka to trudna uwprawnie, eksperymentalna niejako, na miarę odważnego talentu.

W ciągu ostatnich 10 lat „Bracia Muzulmańscy” bardzo wyraziście udział w życiu politycznym Egiptu, występując ostro przeciwko wszelkim rządom w Egipte, które bardziej lub mniej wyraźnie szły na współpracę z Anglikami. Specjalnym środkiem ich działania był terror, który w rzeczywistości wyrażał się w formie represji przeciwko tej organizacji. „Bracia Muzulmańscy” mają na swym koncie kilka zabójstw premierów i czołowych działaczy wrogich im partii oraz nieudanych zamachów na eks-krola Faruka.

Jednocześnie jednak zwalczają oni stanowczo wszelki prawdziwie demokratyczny i ludowy ruch narodozo wyzwoleny mas ludowych, solidaryzujący się w tym z kolami narodowej burżuazji. Stosują oni przy tym metody wyjątkowe, jaką była ich próba dyskredytowania politycznej i żywiołowej manifestacji narodowych ludności w okresie ostrej walki o obalenie kapitulankiej umowy egipsko-brytyjskiej z 1936 roku. „Bracia Muzulmańscy” zorganizowali wtedy przez swych agentów prowokacyjne zamachy domów i sklepów, co doprowadziło do upadku rządu Waftu, a ściślej mówiąc jego lewicowego skrzydła, które pragnęło oprzeć się na ogólnonarodowym walce z Anglikami.

„Bracia Muzulmańscy” poparli zamach stanu Junty wojskowej, która obalił wstępujący się Wielki Brytani i operujący się na konserwatywnych feudalnych reżim króla Faruka. Nie był to jednak rewolucyjny ruch, a jedynie formę burżuazji dążącej do bezwzględnej polityki antydemokratycznej. Oni nie mieli w oparciu o klasyczną mahometanistykę. Obydwie grupy są jednakowo antydemokratyczne i tworzą przyszłość dziejącą się wokół nas i w nas rewalucji...

Zygmunt Lichniak

P. S. Dalem temuż skłowiwo podtytuł: rzecz o Tadeuszu Borowski. Chciałbym ów podtytuł uogólnić: rzecz o wspólności ludzi różnych.

Z. L.

Jerzy Wojciechowski

Koncert na orkiestrę Witolda Lutosławskiego

Zbliżający się Festiwal Muzyki Polskiej pobudził widocznie naszych kompozytorów do jeszcze żywszej niż dotąd działalności, a instytucje muzyczne zaczęły do umieszczania w programach większej ilości polskich współczesnych utworów.

Na przestawił bowiem dwóch zaledwie miesięcy dzielących nas od chwili rozpoczęcia sezonu koncertowego w Warszawskiej Filharmonii mamy trzeci już prawykonywanie nowego utworu polskiego kompozytora. Na początku sezonu słyszymy Trzecią Symfonię Kazimierza Sikorskiego, później „Balladę o żołnierkim kulbu” Tadeusza Bairda, obecnie zaś — Koncert na orkiestrę Witolda Lutosławskiego.

Koncert Lutosławskiego można chyba bez obawy opisać jako dzieło stojące na najwyższym poziomie artystycznym. Stanow on bez wątpienia jedną z czołowych pozycji w muzycznym dorobku naszego dziesięciolecia. Mistrzowskie opanowanie tajemnych kompozytorskiego rzemiosła po-

zwala Lutosławskiemu opanować całkowicie nowoczesnym językiem muzycznym przy zachowaniu niezwykłej jasności i przejrzystości konstrukcji dzieła. I właśnie ta jasność oraz logika konstrukcyjna, charakterystyczna zresztą dla całej twórczości Lutosławskiego, a także ekonomia i celowość w posługiwaniu się elementami kompozytorskiej techniki sprawia, iż Koncert na orkiestrę będąc dziełem nowoczesnym nie jest utworem, jak to się czasem mówi, elitarnym i stanowiącym żywy przykład na parcie „oczywistej już óż chęży tezy, że chcąc pisać w sposób zrozumiały dla szerokiego rzesz słuchaczy — niekoniecznie trzeba się uciekać do prymitywizacji środków artystycznej wypowiedzi. Ponadto koncert Lutosławskiego stanowią prawdziwy „kamień milowy” na drodze kształtowania polskiego stylu narodowego, przynosi bowiem rozwiązanie tego zagadnienia nie praktykowanego dotychczas przez naszych kompozytorów. T. Marek omawiając dzieło Lutosławskiego w programie filharmonicznym, pi-

szce: „Jeżeli w twórczości Lutosławskiego wyznaczyć możemy dwa nurły, jeden: „absolutny” wyznaczony Wariacjami Symfonicznymi i I Symfonią, i drugi — świadomie czerpiący podniety twórcze z folkloru (Mała Suita, Tryptyk Śląski i inne), to Koncert na orkiestrę uważać możemy za dzieło, w którym oba te, niejako oddzielnie dotychczas biegnące nurły spotkały się i zespoliły w organiczną jedność. Nie mamy tu do czynienia z owym, czasem już zbyt nętrnym i powierchowującym „dokomponowywaniem” symfonii do tematów ludowych... lecz z podporządkowaniem folkloru całkowicie autonomicznej koncepcji symfonicznej. Folklor stał się w Koncercie Lutosławskiego materiałem symfonicznym, a nie symfonizacją doświadczeń i w doświadczeniach, które nie mający nie wspólnego z ludowością”.

„Koncert” Lutosławskiego ma więc zapewnić poczesne miejsce w polskiej literaturze symfonicznej i z pewnością zdobywać sobie będzie coraz

liczniejsze rzesze zwolenników, jeżeli — jeżeli, oczywiście, będą go oni mówić, a nie słyszeć. Niedawno bowiem na łamach tygodnika „Dziś i Jutro” toczyła się dyskusja nad kwestią pewnej izolacji polskiej współczesnej muzyki od słuchacza koncertowego na skutek niewąsadnionej często niechęci ze strony tegoż słuchacza. W dyskusji poruszano pewne istotne problemy, nie poruszono jednak jednego z najważniejszych, jakim jest efektywność zwięzła estradowego współczesnych kompozycji. Nowy utwór gra się na jednej estradzie raz, najwyżej dwa razy, po czym odkłada się go ad acta. Tym, którzy narzekają na niezrozumiałość współczesnej muzyki zarecam, że fortepianowo koncert Brahmsa po pierwszym usłyszaniu wdaje się w wielkość, słuchacz również bardzo trudny i niezrozumiały. W ramach artykułu recenzyjnego nie ma miejsca na szersze rozwinięcie tego problemu, sygnalizując go więc tutaj zastrzegając sobie możliwość powrócenia doń przy innej okazji.

Jerzy Wojciechowski

szczość: miał w wielu wypadkach rację. Mogę — a nawet muszę — nie zgadzać się z wieloma jego metodami, z wieloma twierdzeniami personalnymi, ale obowiązuję mnie — i nie tylko mnie — szczość (bolesna szczość) stwierdzenia, że zasadniczy kierunek jego ataku na zaforną, reakcyjną część kleru i społeczności katolickiej — był prawdziwy. Prawidowy nie tylko z ogólnopolskiego, ogólnorewolucyjnego, ale także z ogólnokatolickiego punktu widzenia.

Bądźmy szczyści: my, katolicy, silniej związani z Istotą Kościoła, uwarunkowani i zewnętrznie, i wewnętrznie ważkością tego związku, na pewno każdy z zarzutów szczegółowych formulowanych w tym zakresie przez Borowskiego wyraziłibymy inaczej, ze współczynnikiem obowiązującego nas — znowu nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie — szczunku. Nie znaczy to jednak, że zarzutom Borowskiego, dotyczącym społeczno-politycznej antyrewolucyjnej wymowy wielu powiętnych poszczególnych przedstawicieli opinii katolickiej w Polsce Ludowej, odmówimy słusznosci. Przeciwnie, musimy je w wielu wypadkach potwierdzić. I — w innych, uwarunkowanych przez od-

mięność naszej sytuacji formach — potwierdziliśmy. Potwierdzamy. Będziemy potwierdzali. Byłoby z naszej strony błędem i tchórzostwem nie mówić o tym głośno.

Z drugiej jednak strony byłoby także błędem i tchórzostwem nie mówić o tym, co z mojego — i nie tylko mojego punktu widzenia — stanowi w tym zakresie działania Borowskiego poważne niedopatrzenie, poważną pomyłkę nie tylko metodologiczną, ale i ideologiczną.

Nie będę tu już rozpisywał się o oczywistym błędzie uotożsamiania idei Kościoła katolickiego z tą czy inną — choćby okresowo dominującą — tendencją wśród reakcyjnej części kleru. Wiemy, że rzadko tendencje te wyrażają istotną prawdę i obowiązującą moralnie postawę Kościoła wobec konkretnych zagadnień historycznych. Nie będę także polemizował z melodią pospiesznych uogólnień typu: „postawa księdza X, Y i Z = postawa Kościoła”. Wiem, że nie należy do Borowskiego wymagać dokładnej wiedzy eklesjologicznej. Zresztą Borowski — trzeba to joiłnie przypominać — częściej mówił o reakcyjnym klerze, niż o Kościele rzymsko-katolickim. Natomiast, bez nieudolności i wie-

lopropoków należy zwrócić uwagę na istotny — powtórzmy: nie tylko metodologiczny, ale także ideologiczny — bład Borowskiego, polegający na niedialektycznym widzeniu procesu ewolucji, progresywnego procesu przekształcania świadomości społecznej katolików w Polsce Ludowej.

W tym zakresie operował błędny chyba nawet w kategoriach ideologicznych marksistowski schemat: katolik — niezmiennie reakcjonista, ksiądz — zawsze apologeta wsteczniatwa, ruch katolicki — niezmiennie ruch konserwatywno-antyrewolucyjny, zgodność światopoglądu katolickiego z socjalistycznym programem społecznym — utopia XX wieku.

Obiektywna rzeczywistość społeczno-polityczna Polski Ludowej w latach 1944—1954, a zwłaszcza 1950—1954, obiektywny rozwój ruchu katolików społecznie postępowych i wkład tego ruchu w dzieło Frontu Narodowego, wreszcie perspektywy współdziałania wiolwioswiatopoglądowego aktywny w dalszym działaniu się rewolucji wskazują na obiektywnie błędne tego stanowiska, na które skazał Borowski jego ówczesny stan wiedzy ideologicznej o

wolny jest przekład „Gromiwoju” i innych komedii, dokonany czterdziestą lat temu z okładem przez Cęglewicz, a użyty przez Solkiego w 1912 r. A inne przekłady? — Siemińskiego, Czubia czy leżącego w rękopisie przekład Ulricha?

Trudno dziś do nich dotrzeć, a więc trudno z nich zdać relacje. Nie musiałby być rewelacją, skoro reżyserzy i wydawcy do nich nie sięgnęli.

Od inspirowania nowego tłumaczenia — z myślą przede wszystkim o scenie — wnień reżyser rozpoczął pracę nad komediami Arystofanesa. Potem mógłby skorzystać z kłucza — „Wojny peloponeskiej” Tukidydesa.

Bo przecież jednak należałoby wystawić jego komedie na scenie i to możliwie w jak największym wyborze... Nie tylko dlatego, że miały być dwadzieścia pięć wieków od czasów działalności pisarskiej wielkiego komediopisarza, prawie zupełnie nieznanego u nas ze sceny, a tylko z lektury „Profesorskich” tłumaczem, ale przede wszystkim dlatego, że wszystkie podstawowe idee, o które on piorem wojował, są dla nas drogie, aktualne, bliskie.

Wiele możemy się nauczyć z jego komedii. Możemy podpatrzeć łajkniki jego warsztatu, możemy zrozumieć lepiej sens historii, nabrać odwagi w naszej walce. Tylko, że komedie Arystofanesa muszę — jak kiedyś w Atenach — do nas ze sceny przechwic. Trudnie zadanie stoł przed reżyserami, ale winni je oni jak najprędzej rozważać. Arystofanesa grać trzeba, przecież to pisarz prawie że współczesny.

Kazimierz KarSKI

ko Jej przywódcem. Wpływowy i potężny szef ligi, szek Hassan el Glibelini, został zmuszony do ukrywania się, a paru innych liderów szukano schronienia w Syrii.

Wkrótce potem gen. Nagib, usiłujący wywodzić się spod kontroli Junty wojskowej, odwołał się w swej rozprawie z plk. Nasserem do „Braci Muzulmańskich”, chcąc oprzeć się na nich w swym dążeniu do dyktatury. Jednakże byskawiciana i włączona powoźnem kontratakującemu jego konkurenta uniemożliwiła Nagibowi wykorzystanie tego etatu.

Zostawszy „Bikbaszem” Abdel Nasser przyspieszył finalizowanie umowy z Anglikami o ewakuacji strefy Kanału Sueskiego wykorzystując to dla wzmożenia swej sytuacji wewnętrznej, jako rzekomo zwycięskie zrealizowanie wieloletnich aspiracji narodowej Egiptu.

Jako wiadomo jest to wielki bluff, gdyż formalny sukces Junty wojskowej opierał się w rzeczywistości na imperializmie amerykańskim. Nie więc dziwne, że „Bracia Muzulmańscy” mieli łatwe zadanie taktyczne atakowania reżimu plk. Nassera za podstępne oszukanie i dowiadującego się zwiastów spacji i nędrówce.

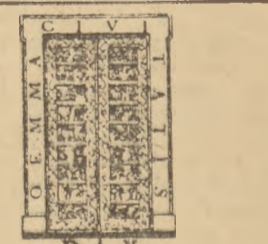
Junta odpowiedzialna na to otwartym wyzywaniem pod adresem ligi, arrebując jej czczonego szefa szekia Hassana, którego nielegalny pobyt w poliklinikum na terenie Egiptu był dotychczas formuwanym „Bracia Muzulmańscy” zagrażowali z kolei swą dawną metodą terroru indywidualnego. Szary członek ligi, rzemieślnik Mohamed Abdel Latif dokonał 26 października br. nieudanej zresztą zamachu na „Bikbaszowego” Nassera.

Był to dla Junty wojskowej pożądanym pretekst dla definitywnego rozprawienia się zarówno z „Braciami Muzulmańskimi”, jak i z prezydentem Nagibem. Ogłoszony natychmiast „komunistycznym” zbrojnym, Egipt jest już w stanie zamachowca, będący członkiem ligi, miał w kieszeni fotografie gen. Nagiba. Wkrótce nastąpiło formalne rozwiązanie ligi „Braci Muzulmańskich”, a w paru dni później rozpoczęto przewidywane już w Egipte, a zwłaszcza w Syrii, dwa zamachy, dwóch zastępców szekia Hassana.

Jeden z nich Jusuf Talaat, miał zamiar w śledztwie, że zamordowanie plk. Nassera odwołałoby drogę do ponownego objęcia władzy przez rząd przez zwyciężonego w cieniu prezydenta Nagiba. Jak dotychczas depesze prasowe, dało to absurdalną przesadę z tajemniczo stanowiska i do internowania go pod ochroną wojskową.

Ostatni etap rozgrywek wewnętrznych w Egipte zakończył się więc zwycięstwem objętą przez dyktatorskiej „Bikbaszi” Nasseru narodowej burżazji nad konkurencyjną grupą feudalno-kapitałistyczną, posługującą się hasłami fanatyzmu religijnego. Nie przesadza to o dalszym rozwoju wypadków w Egipte, gdyż lud pracujący jest już grupą reakcyjnym i kontynuując nadal walkę narodozo-wyzwoleniczą.

Szymon Dereń



Ks. J. Keller
ETYKA — I
Zagadnienie etyki ogólne
str. 220 cena zł 18

Ks. W. Pietkun
DOGMA TYKA KATOLICKA
str. 244 cena zł 18

T. Siłnicki
BISKUP NANKER
str. 133 cena zł 20

T. Siłnicki
HISTORIA KOSCIOLA
KATOLICKIEGO NA WASKU
NAKOWO W KONCA XIV W.
str. 408 cena zł 32

Ks. M. Zywycyński
KOSCIOL A REWOLUCJA
FRANCUSKA
str. 72 cena zł 8

WYŚLA BIURO SPRZEDAŻY
"PAX"
WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43
na zakupienie poczynym lub po
wplaceniu należności na konto
PKO W-wa, 1-8515114... (Przy
wplatach na PKO prosimy dołączyć zł 3... na koszt przesyłki).
Do nabywa we wszystkich
skleпах „VERITAS”

PARADOKSY filmu francuskiego

UWAŻNEGO obserwatora życia kulturalnego Zachodu* uderzać musi osobiwy fakt: gdy powszechnie narzeka się na obniżenie lotów literatury francuskiej, dotychczas przodującej w Europie, gdy marlarstwo współczesne traci swolna swój dawny wielki prestiż — równocześnie lata ostatnie są okresem najwyższych osiągnięć artystycznych francuskiego filmu. Wydawać by się mogło, że to najmłodsza ze sztuk korzysta niejako ze słabości swych starszych siostrzy... Ottonie wspominając już takich osiągnięć pierwszych lat powojennych, jak „Les enfants du paradis” Marcela Carne'a, czy słynnej „Bataille du rail” — ostatnie lata przyniosły „Therèse Raquin”, „Monsieur Ripois”, „L'air de Paris” (z Jean Gabin) i szereg innych z ostatnim arcydziełem, niejako koronującym doświadczenia i wysiłki lat ubiegłych: ekranizacja wielkiej powieści Stendhala „Czerwone i czarne” w reżyserii Claude Autant-Lara. To prawda. Ale równocześnie — „od podszewki” sytuacja przedstawia się co najmniej paradoksalnie: nigdy film francuski nie znajdował się w takim zagrożeniu i niebezpieczeństwie, jak właśnie obecnie.

Kilka tygodni temu odbyło się nadzwyczajne zebranie wielkiego „sejmu” filmowców zrzeszonych w „Fédération Nationale du Spectacle” pod przewodnictwem Claude Autant-Lara. Znakomity reżyser postawił sprawę jasno: jeśli nie zo-

staną przedsięwzięte energiczne środki zaradcze, filmowi francuskiemu niebawem zagrażać będzie bankructwo finansowe. Może on bowiem ulec w walce ze swym najgroźniejszym rywałem: filmem amerykańskim. Nie miałby on zbyt wielkich szans na terenie Francji ze względu na niezwykle niski poziom artystyczny, ale sprawę przesądza dziwna, zupełnie wymykająca się sensownym kryteriom polityka rządu. Otóż ni mniej ni więcej — tylko rząd czyni wszystko, aby do minimum zredukować trudności przy imporcie filmow amerykańskich, natomiast spiętrza trudności przy eksporcie obrazów krajowych. W rezultacie tej osobiwej taktyki Amerykanie zarabiają 10 miliardów franków rocznie, a Francuzi wysyłają do USA najlepsze dzieła swej kinematografii zaledwie za 33 miliony i zmuszeni są walczyć o rynek zbytu... we własnym kraju! Państwo nie pomagając filmowcom ani trochę — okłada ich potężnymi podatkami; tak jakby w jego interesie leżał upadek kinematografii narodowej. Działalność cenzury stanowi również niemniejszy powód oburzenia francuskich filmowców i scenarzystów. „Les Tartuffes contre le cinéma français” — „Świętoszkowie przeciw francuskiej kinematografii” — pisał Sadoul po zatrzymaniu przez cenzurę filmu nakręconego wg powieści Colette, „Le blé en herbe”, z powodu, podobno, niemoralności

tego obrazu. Z tych samych przyczyn cenzura nie pozwoliła na zrealizowanie filmu opartego na znanej sztuce Georges Arnaud „Les aveux les plus doux” („Najśłodsze wyznania”) — gdy tymczasem nie gorszą czynniki oficjalnych wszystkich gwalt, sadyzmy i perversje filmow amerykańskich. Nie trzeba już nawet wspominać słynnej sprawy filmu „Avant le déluge” („Przed potopem”) obłożonego zakazem wywozu za granicę, co równa się milionowemu deficytowi. W obawie przed szyskanami Louis Daquin zmuszony był nakrecać filmową wersję „Bel-Ami” wg Maupassanta w... Wiedniu.

NA tle owej sytuacji wypuszczenie na ekrany filmu tej miary, co „Czerwone i czarne”, jest wydarzeniem nie tyle jakim i posiada wielką wymowę zarówno moralną jak i polityczną. Jest dowodem siły francuskiej kinematografii, siły sztucznie tylko dławionej. Tym bardziej — skoro na warsztat wzięto dzieło znacznie trudniejsze, głębsze, złożone od zrealizowanej kilka lat temu przez Christian Jacqueta „Pustelni Parmeńskiej”. Tam — przemawiał barwny fresk historyczny i obyczajowy z dzieł po-napoleońskich księstwa Parmy, przygody młodego panka, perypetie miłosne bohaterów. Tutaj doszły do głosu głębokie problemy psychologiczne — przeciw Julian Sorel pozostaje jedną z najtrudniejszych do odczytania postaci powieściowych literatury europejskiej — obok wątku miłosnego przebiega wątek polityczny i społeczny — i to potrafiwano przez autora bardzo poważnie. W tym wypadku zachować na ekranie to co Francuzi nazywają „la lumière de Stendhal” (światło Stendhala) — jest problemem nie tyle jakim Niemniej Claude Autant-Lara (reżyser), Jean Aurenche i Pierre Bost (scenariusz) wykonali to zadanie. Powstał jeden z największych europejskich filmów lat powojennych, stawiany przez krytykę obok „Dzieci rajju”, arcydzieła Marcela Carne'a. Znakomity znawca Stendhala, Henri Martineau, powiedział: „Jest to pierwszy film, w którym daje się odczuć stendhalowskiego ducha”.

JAKIMIZ jest więc ten wielki obraz filmowy wielkiej powieści Stendhala — na jakie sprawy kładzie nacisk, jakie postaci traktuje pierwszoplanowo, które pozostawia w cieniu?... Mitem byłaby myśl przeniesienia „całości” na ekrany. Film taki musiałby się składać z czterech lub pięciu części po dwie godziny wyświetlania każda; ale i tak nie objąłby wszystkich warstw powieści.

Gdy zaczytany w pamiętnikach Bonapartego syn cieśli Julian udaje się „na służbę” do pana de Rénal — monarchia anachronicznego Karola X wstrząsana jest poważnymi poruszeniami społecznymi. Gdy tenże Julian, niemal przez zemstę klasową (choćż zjawia się również i prawdziwe uczucie) uwodzi

zonę pana domu, gdy wstępuje po schodach pałacu księcia de la Môle — dojrzeva równocześnie we Francji proletariar i zbliża się rewolucja lipcowa. Owiana romantycznym entuzjazmem powieść Stendhala jest dogłębnie przesiąknięta polityką. Ile z tego bogactwa problematyki zachowała kamera filmowa?

Film zaczyna się „od końca”, od procesu, na którym skazano Juliana na śmierć za próbę zabójstwa swojej dawnej kochanki, pani de Rénal. Słyszemy wyjęte in extenso z książki słowa Juliana Sorela: „Panowie sędziowiel! Widzę tu osoby, które pragną ukarać we mnie i odstraszyć na zawsze tę klasę młodych ludzi, którzy urodzeni w niższej sferze i uciskani przez nędzę, mieli odwagę wspiąć się do tego, co pycha bogatych zwykła nazywać społeczeństwem”. I dalej: „Na sędziowskiej ławie nie widzę ani robotnika, ani chłopca — tylko oburzone mieszczszoństwo”. Ta ekspozycja wydaje się zapowiadać film o wyraźnym obliczu społecznym. Niestety, konieczność licznych skrótów odebrała mu to piękno, pozostawiła wielki obraz romantycznej miłości. Claude Autant-Lara zmuszony został usunąć postać M. Valenod, rywala politycznego pana de Rénal, doskonałą marszałkowi de Fervaques, przyjaciela Juliana Fouque ze środowiska seminarium — wspaniałego księcia Frilar. Z końcowej partii usunął rywalizację obu kobiet, Matyldy de la Môle i pani de Rénal opiekujących się więźniem. Usunął również cały spisek polityczny organizowany wpałacu księcia de la Môle, a w którym Julian odegrał pewną rolę. Ale talent reżysera sprawił, że to tło społeczne — polityczne, cofnawszy się nieco w głąb obrazu, nie przestało istnieć i wszystkie usunięte epizody pozostały po sobie ślady. Wielki dramat miłosny jest równocześnie wielkim dramatem społecznym człowieka z ludu, który marzył o „wielkości” — niepomny, że bohaterkie czasy Napoleona żyją już tylko w jego pamiętnikach i że do celu tego obecnie prowadzą inne drogi. Jest w tym filmie wspaniała scena, która zwykle przy lekturze uchodzi uwadze. Oto w momencie, gdy wchodzi



Pani de Rénal i Julian Sorel (Danielle Darrieux i Gérard Philipe)

Julian, na kilka sekund przed strzałami, które padną w kościele — widzimy panią de Rénal zatoną w modlitwie. W uszach biednej kobiety brzmią stale zdania niefortunnego listu wysłanego przez nią na polecenie spowiednika księcia de la Môle: „Jego (tj. Juliana) jedynym pragnieniem jest móc rozporządzać panem domu i jego fortuną”. Owe strzały, które za chwile padną, zmieniają radykalnie sytuację. Już w więzieniu Julian odnajduje w pani de Rénal obiekt swojej dawnej miłości, połączy ich znów uczucie. Ale tamto zdanie brzmi w pamięci, przypomina istotny sens utworu — że nie o podobie miłosne chodziło Julianowi, gdy wchodził w prógi pałacu de la Môle. W tym fragmencie streszcza się mistrzostwo metody realizatorskiej Claude Autant-Lara... Bohaterką tego filmu od strony aktorskiej jest niewątpliwie Danielle Darrieux, interpretatorka roli pani de Rénal. Jest to — jak twierdzi krytyka francuska — szczególnie osiągnięcie jej świetnej aktorki. Głębią wyrazu swej subtelnej, oszczędnej gry przysławia swą rywalkę, Antonellę Lualdę (Matylda de la Môle), nawet Gérard Philipe'a, doskonałego odtwórcę arcytrudnej postaci Juliana. Każdy szczegół stworzonej przez nią sylwetki przenika inteligencją i dobroć. Nikt chyba dotąd nie wyraził z taką siłą męczarni „uczciwej kobiety”, „dobrej chrześcijanki”, nikt tak przejmująco nie ukazał rozdarcia między sumieniem a ciałem opanowanym przez wielkie uczucie. Jest tą samą panią de Rénal, gdy oszukuje swego męża fałszywym anonimem, gdy porzuca rodzinę i odnajduje Juliana w więzieniu... Julianem jest — jak już powiedziano — Gérard Philipe. Przerasta w tej roli z pewnością swoją poprzednią, stendhalowską kreację Fabrycego del Dongo. Od czasu „zabaw i sporów” parmejskich bohater ten spoważniał, pogłębił się,

nawet nieco zgorzkniał. Dawniej nie widzieliśmy na jego ustach tego lekko drwiącego uśmiechu, odrobinę sarkastycznego humoru, który emanuje niemal z każdej sekwencji filmu... A równocześnie mimo tej dojrzałości — sceny miłosne stały się jeszcze bardziej szczere, głębsze, przejmujące niż w „Pustelni” w „Diable wcielonym” czy w „Diablelskiej piękności”. Może dlatego, że jakoś równocześnie są bardziej tragiczne... Będąc Julien Sorelem, synem cieśli — Gérard Philipe nosi w sobie okruczny osobowość innych bohaterów: coż z Tartuffe'a i Bonapartego (wg zdania Georges Sadoula), coż z Rubempré i Valmonta... Antonella Lualdę swolną surową nieco, smutną sylwetką kontrastuje z resztą aktorów wzbogacając tym obraz filmowy.

„CZERWONE I CZARNE” już od kilku tygodni nie schodzi z ekranów kin paryskich — wkrótce rozpocznie triumfalną podróż przez ekrany świata. Zyskując sobie tysiące wielbicieli walczy równocześnie o sprawę całej francuskiej kinematografii, która potrzebuje pomocy. Nie w dziedzinie artystycznej, lecz jasna — tego dowodzi „Czerwone i czarne” i cała francuska szkoła filmowa operująca środkami wyrazu filmowego o najwyższej jakości. Przede wszystkim: nie trzeba utrudniać jej pracy. „Jeśli państwo nie dopomoga nam — niech przynajmniej nie przeszkadza” — powiedział Claude Autant-Lara.

Niebawem mają się zebrać w Paryżu „Stany Generalne” całej kinematografii francuskiej, które zastanowią się nad dalszą walką o pełne prawo rozwoju tej sztuki.

Stanislaw Zborowski



Gerard Philipe i Danielle Darrieux w „Czerwone i Czarne” Stendhala

KILKA SŁÓW

O teatrze
ROK 1955 NA WARSZAWSKICH SCENACH

Rek 1955 przyniósł duże ożywienie w planach repertuarowych teatrów warszawskich. Przede wszystkim — wystawione zostaną na scenie Teatru Polskiego od dawna oczekiwane „Dziady Mickiewicza” Szekspira, że dopiero w listopadzie. Wcześniej urzymy „Kordiana” w reżyserii Erwina Axera na deskach Teatru Narodowego. Ponadto Teatr Narodowy wystawi „Śmierć Pazuquina” Salitykow Szekspira oraz „Makbet” Szekspira. Wznowione zostaną również sztuki, które oglądaliśmy już w teatrach warszawskich, a mianowicie: „Niemcy” Kruczyńskiego, „Domek z kart”, Zezadowana „Droga do Czarnolasu” Mailczewskiego.

Teatr Polski przygotowuje „Romeo i Julia” Szekspira z Haliną Niekłajską i Czesławem Wolająką w rolach głównych, nową sztukę Komitczukowa — „Skrydła”; będzie też (prawdopodobnie) nowa sztuka Kruczyńskiego.

W Teatrze Kameralnym urzymy związaną tematyką z polemiką romantyzmu w Polsce sztukę Malczewskiego „Ballady i Epigramy” oraz „Dozwolone” Friedricha i „Śmierć na wsi” Turgeniewa. Bogata plany repertuarowe posiada również Teatr Dramatyczny Wska Polskiego, który ma wystawić „Dziady Godunowa” Pużkina, „Jutrojsz Czajara” Szekspira, „Znaczenie człowieka” Tolstoja, „Pana Puntla” Dostojewskiego.

Ciekawym przedstawieniem będą spektakle „Kolejny dzień” Galsworthy'ego i „Charakter” Alfreda de Wigny w Teatrze Antycznym.

Teatr Powszechny przygotowuje „Wiele hałasu o nic” Szekspira, Teatr zaś Ludowy — „Dziady panów z Weron”. Ponadto filmowcy zamierzają wykonać kilka filmów, krótkich i długich, z udziałem aktorów Teatru i Ludmilii Pitajewskiej, niedawno

zaś wznowił ją ku ogromnemu entuzjazmowi widzów prowincjonalny Centre dramatique de l'Ouest. Obecnie (16.XI) wystawia sztukę Czechowa w teatrze „L'Oeuvre” Sacha Pitajew operując się na adaptacji swych rodziców. Pitajew nie ma własnego teatru i zespół odbywał przez 2 miesiące próby w najtrudniejszych warunkach. Znajomiony od dawna z klimatem Czechowa, m. in. dzięki własnej inscenizacji „Wulaszka Wani”, Pitajew jest nie tylko inscenizatorem i reżyserem, lecz również dekoratorem spektakli, ponadto zaś gra w nim rolę Wierszynina. Celem zespołu, stwierdził jego kierownik, było „oddanie w tej sztuce, którą tak lubimy, jej klimat patetyczny i komiczny zarazem”. Wraz z „Wisłowym sadem” w teatrze Barraulta (Garnigny) idą więc obecnie w Paryżu dwie sztuki Czechowa, wydatujące w tym mieście dość niezwykle.

O plastyce
WYSTAWA MŁODYCH PLASTYKÓW W MOSKWIE

Duże zainteresowanie w kołach kulturalnych Moskwy wzbudziła otwarta niedawno wystawa absolwentów wyższych szkół plastycznych. Jest to już trzecia z kolei ogólnozwiązkowa wystawa prac dyplomowych młodych artystów radzieckich. Liczył w niej udział absolwentów Moskiewskiego Instytutu im. Surikowa, Leningradzkiego Instytutu im. Repina, Akademii Sztuk Pięknych Kijowa, Charkowa, Wilna, Tallina i innych miast radzieckich. Przeszło 200 młodych artystów wystawiło ok. 700 prac. Zgromadzone tu wielkie płótna poświęcone tematyce współczesnej i historycznej, portrety, pejzaże, ilustracje, plakaty, dekoracje i kostiumy teatralne. Specjalny dział wystawy poświęcony pracom absolwentów Wszechzwiązowego Państwowego Instytutu Filmowego.

WYSTAWA OBRAZÓW FERNANDA LEGER

W Maison de la Pensée Française w Paryżu otwarto w ostatnich tygodniach wystawę obrazów popularnego we Francji i poza jej granicami, postępowego malarza, Fernanda Legera. W trzech salach wystawowych zgromadzone — z dużym niejednokrotnie nakładem wysiłku — gros dorobku Legera. Wśród dziesiątków fragmentów, szkiców, studiów, małych i większych płócien, i rysunków — uwagę zwiedzających zwró-

cają trzy wielkie obrazy: „Le campeur”, „La grande parade”, „La partie de campagne” — zilustrować je można do największych osiągnięć artystycznych Legera; są to niejako obrazy programowe, odzwierciedlające jego stosunek do sztuki od strony formalnej i ideowej. Pokazują one jak bardzo sztuka Legera zrosła jest z rzeczywistością i jak daleka jest od wszelkiego abstrakcjonizmu.

Prasa francuska publikuje wiele wypowiedzi i artykułów na temat wystawy prac Fernanda Legera uważając ją za ciekawą i poważną wydarzenie w życiu kulturalnym Francji.

KORESPONDENCJA J. A. GROSA

W Palais des Beaux Arts w Brukseli wystawiono na sprzedaż cenny i niezwykle bogaty zbiór listów znanego malarza francuskiego, Jean Antoine Grosa (1771—1835), który — jak wiadomo — był uczniem Jacques Louis Davida, a specjalizował się w tematach historycznych i batalistycznych. Zbiór zawiera kilkudziesiąt listów artysty z okresu jego pobytu we Włoszech, adresowanych do matki oraz dwa listy matki do niego. Korespondencja ta, dotychczas zupełnie nieznana, dostarcza wiele ciekawego materiału do poznania osobowości Grosa.

542 numer tygodnika „Les Lettres Françaises” publikuje kilka fragmentów odkrytej ostatnio korespondencji J. A. Grosa, reprodukcją przy tej okazji ciekawo a mało znany portret własny artysty i szkice z okresu wojen napoleońskich we Włoszech.

„SALON JESIENNY” W PARYŻU

W dwudziestu trzech salach „Grand Palais” otwarto niedawno wielką wystawę sztuk plastycznych malarstwa, rzeźby, grafiki, rysunku, architektury wnterz itp. Celem tej wielkiej imprezy artystycznej, podobnie jak i analogicznych wystaw urządzanych w latach ubiegłych, jest ukazanie dorocznego dorobku artystów francuskich i poddanie go ocenie społeczeństwa. Pawa, wodochłonna zrakę tegorocznego Salonu poświęcono znanym niedawno plastynom francuskim, których dzieła ozdabiała „Salony Jesienne”. Jeszcze przed kilku laty. Zgromadzone zostały w domowej Lagarde (1874—1953), rzeźby Valentina Le Chamoisa (1903—1952), pejzaże Alfreda le Petit (1876—1953) i René Seyssaud (1867—1952) itp.

W innych częściach wystawy pokazano wiele ciekawych pozycji, powstałych w ciągu ostatniego roku, które pozwalają poznać i ocenić osiągnięcia i kierunki, w jakich rozwija się współczesna sztuka plastyczna we Francji. Wiele z prac wystawionych na tego-

rocznym Salonie nawiazuje do realistycznego kierunku w sztuce. Z tego bogatego i jakościowo i ilościowo zestawu ekspozycyj do najciekawszych zaliczyć wypada obrazy Jean Vientenne „La mort de l'ouvrier”, Yves Coulaux „Pejzaż”, Gerard Singera „La mine de Cassous”, James Taylora „Rue du Chemin-du-Haut Saint Denis”, Roberta Bouguillona „Les peniches”, i Gastona Selire „Femme espagnole à sa cuisine”.

O literaturze

40 ROCZNICA URODZIN HOWARDA FASTA

W dniu 11.XI postępowy koła literackie świata obchodzą czterdziestą rocznicę urodzin znanego powieściopiszarza amerykańskiego, Howarda Fasta. W postępowej prasie literackiej ukazały się artykuły okolicznościowe, omawiające dorobek literacki pisarza. Dorobek literacki Fasta, tłumaczony na wiele języków świata, przedstawia się — zwłaszcza z zestawieniu z obchodzoną rocznicą — niesłychanie imponująco. Dwadzieścia pięć książek — 16 powieści jedno i dwie prace historyczne. Warto tu przy okazji dodać, że ten stosunkowo młody pisarz ma poza sobą dwadzieścia dwa lata pracy twórczej, pierwsza bowiem jego książka ukazała się gdy liczył lat niespełna osiemnaście. Książki Fasta znajdują miliony czytelników we wszystkich częściach globu, zdobywają wszędzie ich uznanie; najmniej niewątpliwie popularne są w Stanach Zjednoczonych, gdzie zbyt troskliwie opiekują się nimi urzędnicy senatora Mc Carthy i gdzie nie dostrzegają ich oficjalni historycy literatury amerykańskiej.

DRUGA ROCZNICA ŚMIERCI PAUL ELIARDA

W tych dniach Francja literacka uczciła wspomnieniami w prasie i artykułami okolicznościowymi drugą rocznicę śmierci popularnego, postępowego poety francuskiego — Paul Eluarda. 544 numer tygodnika „Les Lettres Françaises” publikuje artykuł o Eluardzie i współczesnym mu kierunkowi w literaturze francuskiej piona Gaston Massata, a oprócz tego noszące fragmenty nie wdanego dotychczas rękopisu Eluarda — części poematu „Epitaphes”, który jest jednym z ogniw cyklu „Pouvoir tout dire”. Francuskie oficyny księgarskie uczciły tę rocznicę wypuszczeniem na rynek okolicznościowych wydań poezji Eluarda.

ZBIGNIEW DOLECKI

Do nich

CZŁOWIEK STAMTĄD MÓWI:

Choćż z wami jest ciężar grożącego żelaza z wami niepokój godzin codziennych z wami są kraty, pięści i zagłada w waszych domach jest powszedni nasz chleb my ludzie prości w rachunku zapomniani nie ukorzymy się przed siłą waszą na nicości wzrostu i wolą czynienia zła.

CZŁOWIEK WOLNY MÓWI:

Moja zwykła ludzka pogarda jest tak wielka jak wasza wściekłość kiedy życie nie poddaje się waszej woli gdy człowiek o ciele bolesnym o wnętrzu tak miękkim jak trzcina nie ulega waszym słowom zdradą zatrutym i mocom przerażenia.

CZŁOWIEK STAMTĄD MÓWI:

My ludzie modlący się każdego dnia na progach kościołów jak niebo swobodnych pokorni i poddani lecz tylko Bogu i my śpiewający o boju ostatnim nie strwożymy się waszych na schodach kroków ni ciosów nagłych i przyjmijemy was godnie: milczeniem.

CZŁOWIEK WOLNY MÓWI:

O władcy ptaków srebrnych karmionych śmiercią a szybszych od dźwięku władcy końców świata na atollach, które nie chciały umierać trzcinę dla nas warzący w kotłach powietrza i oceanów posłuchajcie szeptu chwil, które mijają bez miłości spójrzcie na cienie odpryski nocy sumień martwych a usłyszycie a odczytacie wyrok ostatni na obudzonych z mroków ziemi

LUDZIE MÓWIĄ:

Odrzucimy waszą nienawiść o naiwni szaleńcy sądzący że można zabić to w co staracie się nie wierzyć waząc człowieka ciężarem strachu i blaskiem złota zagluszący się krzykiem ślepych i ciężkim marszem stalowych kolumn pancernych.